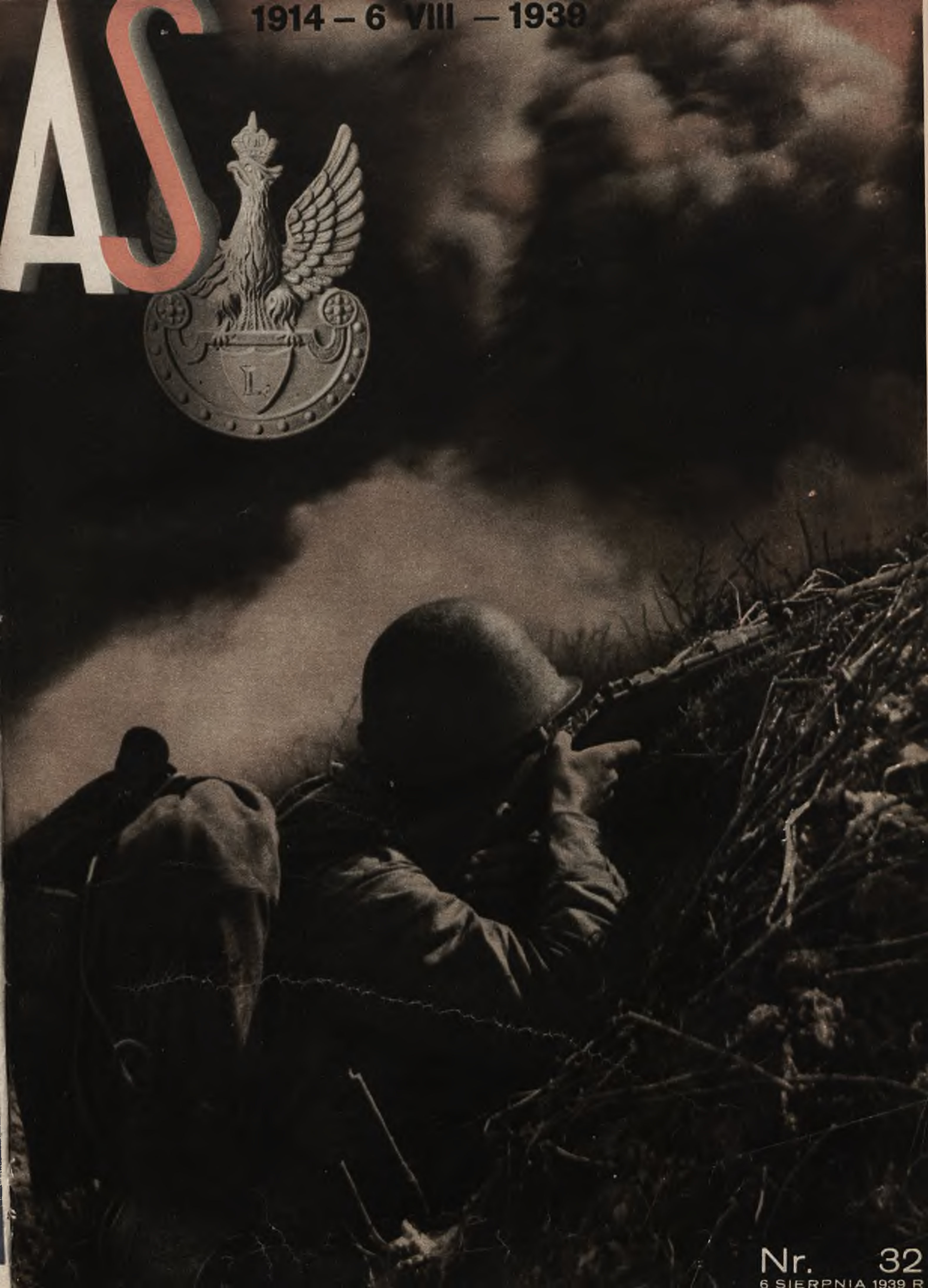
AS

1914 – 6 VIII – 1939



Nr. 32
6 SIERPNIA 1939 R

Świt w Oleandrach

WITOLD ZECHENTER

NOWELA

Franek nie mógł spać, nie, chociaż mu kazali. Przywarował pod kołdrą, w ciemnym kącie pokoiku udawał tylko, że śpi.

Ale słuchał.

I słyszał wszystko.

Przy stole siedziała matka,, ojciec i starszy brat. Franek miał dopiero siedem lat — ale jego brat, Janek, miał już szesnaście. Jakże mu Franek zazdrościł!

Rozmawiali. A raczej ojciec mówił — a oni słuchali. Matka popłakiwała.

— Wszystko macie już przygotowane, pocerowane, spakowane — mówiła.

— Dobrze — rzekł ojciec. — Nie płacz. Ciesz się!

— Ciesz się, mamo, jak my — dorzucił Janek.

Frankowi także łzy płynęły do oczu. Ale nie z tego powodu, co matce. Nie. Matka oczywiście obawiała się tylu różnych rzeczy, bo to mąż i syn idą na wojnę przecież. I w takich dziwnych warunkach!

Ale Franek płakał z innego powodu. Że on — nie mógł... Wyśmiali go, gdy powiedział, że też pójdzie. Może nie wyśmiali — bo ojciec wprawdzie roześmiał się, ale zaraz wziął go na kolana i pocałował w czoło.

— I na ciebie kiedyś przyjdzie kolej — rzekł mu — ale ty już może będziesz walczył za wolną Polskę — nie dopiero, jak my, o jej wolność...

Ale Janek — to się śmiał poprostu.

— Idźże, ty źgaczu — rzekł — takich smarkaczy do Legjonów nie biorą!

I Franek płakał teraz, udając, że śpi — bo mu spać kazali...

— Skoro świt — w Oleandrach — mówił ojciec. — Skoro świt — odmarsz — z Nim, z Komendantem...

Długo słuchał Franek słów ojca i żalu matki — aż zasnął. Ale nie spał długo tym snem gorączkowym dziecka, snem, przed którym nie miał się sił obronić.

Zbudziły go kroki, głośne słowa.

Zerwał się na posłaniu.

Ojciec i brat stali gotowi.

Żegnali się z matką.

Potem ojciec podszedł do łóżka Franka — a Franek bezwiednie zamknął oczy i znów udawał, że śpi. Poczuł ojcowską dłoń na głowie.

Takie było pożegnanie.

Wyszli — matka za nimi.

I wtedy Franek zerwał się, narzucił ubranie w szalonym pośpiechu — i wybiegł z mieszkania.

Pędem do bramy.

Tam — na prawo od schodów głos matki — rozmawia z kimś — acha, z dozorczynią.

Pocichu, ukradkiem — szust na ulicę. Nie widziała go.

Długa droga jest na Błonia w tym szarym, chłodnym świcie sierpniowym. Ale Franek, dopinając jeszcze guziki bluzki, pędzi jak strzała. Przystaje na chwilę — łapie dech — i znów dalej...

Zna tę drogę tak dobrze. Ileż razy tędy chodził na Błonia, do parku Jordana — by z kolegami bawić się tam, grać w piłkę, odbywać konkursy na ślimacznicy.

Biegł.

Pusto było na ulicach.

Kraków spał jeszcze. Gdzieniegdzie tylko pojawili się pierwsi przechodnie. Albo ci, którzy po zabawie wracali chwiejnym krokiem do domów — albo ci, którzy już teraz wyjść musieli, by zdążyć do pracy.

Główną ulicą jechał beczkowóz zaprzężony w dwa konie — leniwie tryskała woda na zakurzony bruk. W innej znowu ulicy przystanął przed bramą „smok" do zabierania śmieci, wysypywanych do jego olbrzymiego wnętrza z podwórzowych pak. Ukazali się też na jezdni tu i tam pierwsi zamiatacze.

Planty oddychały świeżem powietrzem poranka, który wstawał powoli nad uśpionem miastem. Uderzyły nagle dzwony — biła jakaś godzina. Po trzy uderzenia popłynęły nad miasto — trzecia...

A potem srebrzysty dźwięk trąbki — z wysoka i z daleka — marjacki hejnał zakołysał się i pobiegł w różowawe niebo.

Przez ulicę Wolską Franek zdążał ku deptakowi. Szła na niego fala chłodnego i czystego powietrza od Błoń, od Rudawy, od Sikornika. Niewyraźnie w lekkiej mgle poranka rysował się Kopiec Kościuszki.

Franek popędził teraz wzdłuż Rudawy, jednej z wielu krakowskich Rudaw, płynącej długością parku Jordana. Przez mały lasek — i nagle — zatrzymał się.

To tu.

Oleandry.

Zza drzew rzucał badawcze spojrzenia. Gromadkami schodzili się tam mężczyźni. Ojca i Janka jeszcze nie było. Wyprzedził ich spiesząc bocznemi ulicami.

Ruch gorączkowy trwał w Oleandrach — przebiegali Legjoniści, zdejmowano karabiny z kozłów, padały jakieś słowa.

Franek musiał dobrze przyczaić się, by ojciec lub Janek nie ujrzeli go — a właśnie nadeszli szybkim krokiem. Chętnieby padł ojcu w objęcia — jeszcze pożegnać się, jeszcze wypłakać ból swych siedmiu dopiero lat. Ale ojciec kazałby mu z pewnością wracać do domu — i spać. A Janek pewnieby się śmiał znowu.

Minęli go. Witali się z innymi spieszącymi w tem samem kierunku.

Franek powoli podszedł bliżej — teraz, przywarty do drzewa, które go zasłaniało, widział dokładnie całą przestrzeń aż do zieleni parku Jordana.

Świt trwał coraz silniejszy nad Oleandrami, coraz pełniejszy. Ptaki śpiewały, zanosiły się od porannego hymnu, witającego ciepły, letni dzień. Na lekkim przewiewie poruszały się gałęzie drzew, szeleszcząc tajemniczo.

Franek raz tylko był w teatrze na bajce dla dzieci — i tak jak wtedy, z pałającą twarzą, z błyszczącemi oczyma, patrzył na to, co się rozgrywa na scenie, tak patrzył i teraz.

Znużenie mało przespanej nocy, wzruszenia ostatnich dni, gorycz w sercu, smutek — to wszystko było w nim jakby jakaś mgła wewnętrzna, która przesłaniała mu realne zjawiska.

Więc patrzył — jakby to była scena, jakby to był teatr jakiś przedziwny.

Jakby w półśnie widział postaci, słyszał dobiegające go słowa.

Zagrała trąbka — wszyscy drgnęli, drgnął i Franek i otrząsł się trochę z zamroczenia.

Metaliczny dźwięk rozrywał powietrze. Teraz dopiero ujrzał Franek, że tu i tam w lasku stali gromadkami jacyś ludzie, a sporo było wśród nich takich malców jak on. I wszyscy patrzyli tak jak on — i słuchali pobudki, wygrywanej na wojskowej trąbce.

I nagle padły słowa:

— Do szeregów!

Wszyscy gorączkowo ustawili się — karnie złamane czworoboki przywarły w milczeniu.

A wtedy stanął przed trwającemi w ordynku — On.

Franek nigdy Go nie widział.. Znał Go tylko z opowiadania ojca. Ale poznał Go od razu.

Oczywiście — to On.

Stał przed frontem kompanji w otoczeniu kilku.

Wszyscy patrzyli w Niego.

— Spocznij! — padła komenda.

A wtedy zaczął mówić.

— Żołnierze. Spotkał was ten zaszczyt bezmierny — — —

Franek nie rozumiał słów.

Słuchał dźwięku tego głosu.

To mówił Komendant.

Wszystko znowu przesnuło się jakby mgłą. Franek słyszał ten głos — Jego głos — a potem słyszał okrzyki Legjonistów — a potem jeszcze widział, że przygotowują się już — tak, już...

Rozległy się słowa komendy. Jednej, drugiej...

Runęły kroki.

Szli.

Nad Oleandrami wstawał dzień szóstego sierpnia 1914 roku.

Franek długo stał przywarty do drzewa.

Pusto zrobiło się w lasku. Pusto dokoła. Zdala dobiegały jakieś głosy jeszcze — miarowy krok marszu — jakieś słowa — pożegnania — potem sfrunęła piosenka...

Aż ucichło wszystko.

Powoli przychodził Franek do świadomości. Tak, odeszli. Odeszli już do wojny za wolność Ojczyzny. Tak, jak mówił ojciec.

By wolna była.

By spadły więzy.

By wielka była, cała i niepodległa.

Poszli — oni pierwsi.

Naprzód powoli, jakby nieświadomie, potem szybciej zaczął iść ich śladem.

Ale nogi ciążyły mu jak z ołowiu. Tak jak w przykrem, nużącem śnie, gdy to chce się iść — a nie może. Powoli wlókł za sobą ociężałe, zmęczone kroki, mijając rozśpiewane ptakami drzewa.

Nie wiedział sam, kiedy wyszedł na szosę. W pyle jej trwał jeszcze ślad tych, co tędy przed chwilą przemaszerowali.

Zdawało się nawet, że gdzieś z daleka, gdzieś górą płynie jeszcze echo piosenki żołnierskiej.

Nie widział mijających go ludzi, szedł przed siebie, coraz prędzej, coraz prędzej.

Uciekała z pod stóp twarda droga. Zielone pola ginęły dokoła w zmęczonem spojrzeniu. Szedł echem piosenki żołnierskiej, szedł śladem żołnierskich butów, które tędy przeszły — tą zwykłą, twardą i zakurzoną drogą — tą zwykłą drogą, a jakże niezwykłą: drogą do wolności Polski.

Potem zaczął znowu biec, znowu, jeszcze.

Brakowało mu tchu, kłuło w piesiach.

I nagle zdawało mu się, że już ich dopędza. Że tam — na zakręcie — widzi ich szarą kolumnę.

— Weźcie mnie! — krzyknął. — Weźcie mnie z sobą! Ja też chcę! ja też chcę iść z Komendantem!

Zachłysnął się tym krzykiem — i padł w bok drogi, w zieloną przystań trawy.

Nikt nie słyszał jego głosu, nikt nie widział małego ciała, upadającego na drodze w królującem wczesnem dniu słonecznem.

Franek zemdlał.

Ale w tem omdleniu wydało mu się, że ktoś idzie drogą, przez koleiny, przez kurz. Postać jakaś wyniosła a bliska, jakby królowa z bajki — idzie ku niemu. Przystaje, pochyla się — i czuje jej rękę.

— Wstań! — słyszy głos.

Dokończenie na str. 7-ej

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 32 **Niedziela, 6 sierpnia 1939** **Rok V**



Ze zbiorów Archiwum Legionów i N. K. N. (Archiwum Akt Dawnych m. Krakowa)

Powracają dziś, w 25-tą rocznicę wybuchu wojny światowej, te same nastroje i te same komplikacje polityczne, które stały się źródłem katastrofy dziejowej w roku 1914. — Wielka wojna jednak, która była ową wyśnioną przez naszych wieszczów „wojną ludów", dała Polsce niepodległość. Na naszem zdjęciu: Patrol ułanów Beliny, jadący na rekonesans.

W życiu narodu są chwile wielkich zrywów i wzmożenia się potęgi, ale są także chwile załamania i upadku. Jest moment napięcia wszystkich żywotnych sił narodowych, pozwalający na rozrost, jest moment spadku tych sił, pociągający za sobą konsekwencje nieraz tragiczne. — Znamy dobrze z własnych dziejowych doświadczeń sens tych stwierdzeń, albowiem z wyżyn potęgi staczaliśmy się na dno upadku, ażeby potem własnym trudem i wysiłkiem na drogach znaczonych krwią żołnierską i mogiłami najlepszych synów narodu dojść do niepodległej ojczyzny.

Analizując tragiczną przeszłość z doby rozbiorów i doszukując się tych sił twórczych, które z domu niewoli potrafiły nas wyprowadzić na słońce wolności, stwierdzić musimy zasadniczą prawdę: — Naród, mający własną prawdę, rozumiejący własne posłannictwo, własną wartość, liczący tylko na własne siły, umiejący ze swej duszy wykrzesać ogień miłości dla szczytnych i wielkich ideałów, wierzący w swą nieśmiertelność, nie zginie, chociażby się przeciw niemu sprzysięgły wszystkie moce świata. Te właśnie czynniki złożyły się na to, iż tragedję rozbiorów potrafiliśmy przetrwać, że potrafiliśmy podejmować wielokrotnie desperackie walki z przemocą, nie załamać się mimo klęsk i dojść do oczekiwanego zwycięstwa.



Na prawo: Widzenie księcia Piotra. — Scena z „Dziadów" A. Mickiewicza.

IDEA NOWEJ ERY



U góry: Pierwsze wydanie „Pana Tadeusza" A. Mickiewicza z 1834 r.



Na lewo: Koncert nad koncertami. — Ilustracja Andriolli'ego do „Pana Tadeusza" A. Mickiewicza.

Rozbiory były bezsprzecznie dla narodu tragicznym ciosem i pociągnęły za sobą szereg przykrych konsekwencyj. Odbiły się fatalnie na zbiorowem życiu narodu, zahamowały jego rozwój na wiele dziesiątek lat, wydały naród na łup obcej przemocy. Nie zdołały jednak zabić w narodzie jego własnej, polskiej prawdy, jego charakteru, nie zdołały odebrać narodowi wiary w lepszą przyszłość, a przedewszystkiem nie potrafiły go strącić w odmęt ponurego, wyniszczającego, nihilistycznego pesymizmu. Stwierdzić musimy, że właśnie w dobie niewoli umieliśmy skrystalizować własne credo narodowe i zdobyć się na prawdy, które miały znaczenie doniosłe nietylko dla nas, ale dla kultury, postępu i rozwoju ludzkości.

Duch narodu nie ugiął się pod ogromem klęski, potrafił skoncentrować wszystkie swe siły, potrafił przemówić wielkim słowem, wielką myślą, potrafił się wreszcie zdobyć na wielki, bohaterski czyn.

To objawienie narodowych prawd, to światło narodowego ducha, które było słupem ognistym w nocy niewoli promieniuje szczególnym blaskiem w dziełach naszych wielkich twórców. Poeci, pisarze, artyści umieli czytać w duszy narodu, umieli w niej doszukiwać się polskiej prawdy i umieli dawać jej wyraz w dziełach, jakie stały się zarówno w dobie niewoli busolą wskazującą drogę do wolności, a po odzyskaniu niepodległego bytu prawdziwą skarbnicą wielkich myśli, wytyczających narodowi drogę do wielkości.

Polska upadła jako państwo. Żyła jednak w duszach wszystkich Polaków, przejawiała się we wszystkich ich wysiłkach, trudach i pracach. Żyła w literaturze i sztuce plastycznej. Zdobywała dla nas sympatje u obcych i kazała im chylić głowy przed wielkością narodowego genjuszu.

Im bardziej srożyła się przemoc, im gęst-



Przysięga Kościuszki na Rynku krakowskim. Scena ze sztuki W. Anczyca „Kościuszko pod Racławicami".

sze otaczały nas mroki, tem silniejszem życiem tętnił duch narodu, przejawiając się w coraz to wspanialszych dziełach.

Jest wielka prawda, mówiąca o tem, że tylko wielkie ideały, wielka miłość i wielka wiara mogą stworzyć wielki czyn. Ta miłość i ta wiara muszą być organicznie związane z bytem narodu. Nie można niczego stworzyć bez tych dwóch konstruktywnych czynników. Nie można niczego narzucić choćiażby się zdawało, iż narzucone formy myślenia, podsunięte prawdy, hasła czy doktryny, mają swe głębokie uzasadnienie. — Wszystko to, co nie wypływa z istotnej wartości i z istotnych potrzeb ducha narodu, nie jest zdolne do wykrzesania jakichkolwiek czynów na miarę wielką.

Każdy czyn, każda prawda, ten czyn rodząca, muszą wypływać z charakteru narodu. Byliśmy od wieków, od zarania naszego historycznego bytu narodem rycerskim, stojącym na służbie rycerskich prawd i ideałów. Z tego naszego charakteru wypływał wielki bohaterski patos wszystkich naszych poczynań. Trzeba było utrzymać duszę narodu na najwyższym poziomie bohaterskiego napięcia, ażeby zdolna była do wydobycia z siebie wielkiego wysiłku w dobie decydującej. — Ta rola podtrzymania ducha w narodzie, rola czynnika konstruktywnego, stwarzającego cuda, przypadła w pierwszej linji naszej wielkiej literaturze.

Nie jest to przypadek, że nasi żołnierze z okresu ostatnich walk wyzwoleńczych w legjonach czy innych formacjach, przybierali sobie zawołania bojowe zaczerpnięte z naszej literatury. Mieliśmy w szeregach walczących Konradów, Kordjanów, Stańczyków, Wołodyjowskich, Kmiciców, mieliśmy nazwiska przybierane od nazwisk bohaterskich postaci, występujących w dziełach naszych wielkich twórców.

Żołnierze idący w bój o niepodległość widzieli Polskę oczyma wieszczów i wielkich twórców. Można śmiało powiedzieć, że ci wielcy w narodzie byli prorokami żołnierskiego czynu, albowiem umieli kształtować w narodzie najważniejszy czynnik, a mianowicie czynnik bohaterski, który w wojnie znaczy o wiele więcej, aniżeli najlepszy rynsztunek, czy najbardziej wymyślna machina bojowa. Wszakże wynik wojny nie zależy od tego, jakie się ma narzędzie walki, ale od tego, kto to narzędzie ma w ręku.

Polska żyła w literaturze i sztuce. Stała się wspaniałym mitem, stała się najwyższą wartością dla narodu. W chwili utraty państwowości wstała Polska przed oczyma narodu w wielkiej glorji i w wielkim majestacie swego ducha. Mówiła do pokoleń dziełami trzech wieszczów. Przemawiała wielką poezją romantyczną, porywała dusze na bohaterskie szlaki dziełami wielkich powieściopisarzy, patrzyła na swych żołnierzy z płócien malarskich i wołała do narodu ze scen dramatami, stworzonymi genjuszem.

Trudno dziś, pokoleniu zrodzonemu w wolności i wzrastającemu w dobie niepodległości państwa, zrozumieć te wszystkie uczucia, jakie przenikały zbiorową duszę narodu przy lekturze Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, te uczucia, jakie się rodziły na widok wspaniałych misterjów dramatycznych Wyspiańskiego, czy przy oglądaniu genjalnych wizyj Matejki zaklętych w jego obrazach, czy też na widok dzieł Grottgerowskich.

Literatura i sztuka epoki porozbiorowej rozumiała, iż jej przeznaczeniem jest nie

Dokończenie na str. 6 tej.



Kordjan w Warszawie. — Scena z „Kordjana" Juljusza Słowackiego.



Na lewo: Zdzisław Czermański: Józef Piłsudski w drodze na Sybir.



Na prawo: Jan Matejko: Wernyhora.



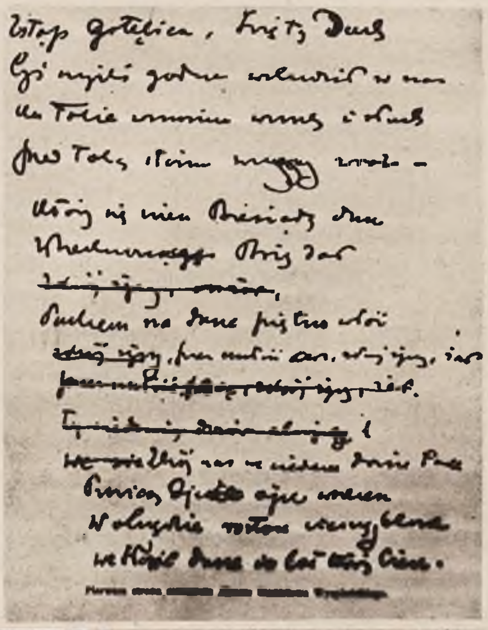
Cytadela warszawska. (x) oznaczono okno celi, w której więziony był Józef Piłsudski.

pozwolić zginąć narodowi i prowadzić ten naród ku nieśmiertelności.

Nie można sobie wyobrazić bez wielkiej trójcy naszych wieszczów, bez plejady romantycznych poetów, bez Kraszewskiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, bez Wyspiańskiego, bez Matejki, Grottgera, Kossaków atmosfery, w którejby mógł dojrzeć czyn 6-go sierpnia 1914 roku. Na nich to, na ich dziełach wychowywali się ludzie zapatrzeni w wizję niepodległej ojczyzny, rozumiejący, że każdego z nich obowiązkiem jest złożyć całe swe życie w ofierze uciemiężonej ojczyźnie.

Wychowywał się i wzrastał młody Polak przed wojną światową, przeżywając dramat Konrada, wierząc proroczym słowom ks. Piotra z „Dziadów", modląc się słowami „Ksiąg pielgrzymstwa", ucząc się miłości ojczyzny na „Panu Tadeuszu". Szedł śladami „Kordjana", cierpiał mękę z „Anhellim", rozpamiętywał wielkość „Króla Ducha". Zagłębiał się w prawdy „Nieboskiej komedji", szedł za „Irydjonem" i starał się poprzez półmrok „Przedświtu" dojrzeć wstającą jutrznię wolności.

Poniżej: Pierwsza strona autografu „Hymnu" Stanisława Wyspiańskiego, ofiarowanego przez poetę tworzonemu przez J. Piłsudskiego Wojsku Polskiemu.





„Panno święta, co... w Ostrej świecisz Bramie... Rys. I. Pinkas.

A potem za Romanowskim śpiewał: „Nie czas marzyć o ochaniu, o bogdance, o róż rwaniu...". Wiedział, że każdy z młodych ludzi w Polsce, to jak „ptak na wędrówce".

W chwilach zwątpień i załamań wspominał „Chorał" Ujejskiego i przyprowadzał przed oczy wielkie prorocze słowa „Maratonu".

Jakże rwały młodą duszę wspaniałe szarże ułańskie, ujęte w barwną wizję na płótnach Kossaka? Jakże głęboko przenikała taką duszę postać Wernyhory na płótnie Matejki, wieszcząca narodowi wolność? Ileż to uczuć wielkich rodziło się w duszy na widok obrazu przedstawiającego przysięgę naczelnika Kościuszki na Rynku, a ile to myśli rodziła wizja bitwy racławickiej, zaklęta w płótnach Panoramy lwowskiej. Każdy z nas, pamiętających okres przedwojenny, patrzył wraz z Malczewskim w „Zatrutą studnię", przeżywał dramaty jego „Wygnańców" i wchodził do pustej chaty Anhellego, w której



Stanisław Wyspiański: Widok na Wawel i Wisłę.



Artur Grottger: Pobór w nocy. Cykl: „Polonia".



Pomnik Adama Mickiewicza w Poznaniu, wzniesiony, z powodu sprzeciwu władz pruskich, na prywatnej parceli przy ul. św. Marcin.

na tapczanie wyścielonym mchem sybirskim leżał złotowłosy zewłok Ellenai.

Wołanie Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu" w wielkim „Hymnie do Ducha Świętego", jego wizje prorocze budziły iskry zapału, który cuda stwarza.

A potem szedł młody Polak za bohaterami Sienkiewicza, ścinał się z Kozakami, ze Szwedami, Tatarami i Turkami, przeżywał wszystkie przygody, klonił głowę przed majestatem wielkości Rzeczypospolitej i marzył o przyszłej żołnierce, o przyszłych czynach, które postawią go obok Skrzetuskich, Kmiciców i Wołodyjowskich.

Szedł z „kryjakami" w puszczę litewską i siedział w opuszczanej chacie leśnej, czekając na „znak". Widział się w otoczeniu i w sytuacjach po mistrzowsku uwiecznionych przez Grottgera.

Nic też dziwnego, że kiedy szło o pracę dla niepodległości, jeśli szło o walkę, rezygnował z własnego szczęścia, z własnej przyszłości, ze wszystkich ukochań, a pozostawał wierny jedynej miłości, miłości do narodu i Ojczyzny. Przestawał marzyć „o kochaniu, o bogdance i róż rwaniu" ,a marzył o karabinie. Ileż to razy w dziwnej ekstazie spieczonemi młodzieńczemi wargami powtarzał wiersz: „O karabinie mój, do piersi tulę twą stal..."

A pokolenie starsze? Ono także żyło polską prawdą i polskim mitem, zaklętym w dziełach polskiego genjuszu. — Ojcowie i matki wychowywali swe dzieci na przyszłych bojowników wolności. Przedewszystkiem matki. Każda z nich powtarzała i znała na pamięć owe słowa nieśmiertelne: „O matko Polko! Gdy u syna twego w źrenicach błyszczy genjuszu świetność, jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego dawnych Polaków duma i szlachetność..."

Wiedziały owe matki, że przyjdzie im złożyć na ołtarzu ojczyzny najwyższą wartość, jaką jest umiłowane dziecko. Wiedziały jednak, że tak być musi, jeśli naród niema zginąć, jeśli ma przyjść oczekiwana, wymodlona i wytęskniona chwila Zmartwychwstania.

Ażeby zrozumieć głębię czynu, który w dniu 6-go sierpnia przed dwudziestu pięciu laty wprowadził nas na szlak wiodący do niepodległości, trzeba wniknąć głęboko w dzieła wielkich w narodzie. Nie zdziwimy się potem, jeżeli dowiemy się, że żołnierz Józefa Piłsudskiego miał w tornistrze dzieła trzech wieszczów i zrozumiemy dlaczego to sam Wielki Wódz kazał później prochy wielkiego Juljusza znieść do podziemi wawelskich „iżby królom był równy". Zrozumiemy, dlaczego to Józef Piłsudski jeszcze jako „Ziuk" kazał w Królestwie kolportować Częstochowską Madonnę z Wyspiańskiego „Hymnem". A te prawdy, które zrodziły wielki czyn, nie były na wczoraj ani na dzisiaj, są one wieczne. Zrodził je nieśmiertelny duch narodu, to też mają wartość nieśmiertelną. Z nich, jak kiedyś może naród czerpać wskazania, wedle których idąc, osiągnie nieśmiertelną wielkość.

Sar.

Dokończenie ze str. 2-ej.

Wstaje. Jest dokoła dziwnie — wspaniale i jasno. Stoi u stóp nieznanej postaci — nieznanej, a jednak tak bliskiej, tak swojej...

I słyszy słowa jej:

— Chłopcze! Dzisiaj poszli oni — a wśród nich z Komendantem ojciec twój i brat. Ale jutro — jutro, gdy dorośniesz — i ty pójdziesz. I ciebie wezwę, ażebyś szedł dla mnie na front walki. I pójdziesz. Pójdziesz jako orlę lwowskie, pójdziesz jako chłopak śląski czy wielkopolski, pójdziesz jako ochotnik w gimnazjalnym mundurku pod Warszawę. Teraz jeszcze nie czas na ciebie. Do domu wróć, do matki. Ale przyjdzie czas — i usłyszysz mój rozkaz!

Franek słuchał — a z ściśniętego gardła wyrwało mu się z trudem zapytanie:

— Ktoś ty?

Wyniosła postać przesłoniła całą przestrzeń, do nieba wzrosła — ogarnęła wszystko. Aż znikła.

A Franek rozumiał.

To była Polska.

Wtedy przecknął się z omdlenia. Z trudem wstał, otrzepał kurz z ubrania.

Ostatnie spojrzenie rzucił w stronę, gdzie zniknęli, gdzie przeminęła żołnierska piosenka — i zawrócił ku miastu.

Ujrzał lśniące w słońcu wieżyce, dachy Krakowa.

I szepnął:

— Tak... I ja także stąd pójdę kiedyś — dla Ciebie, Polsko!



Wśród LAUREATÓW NOBLA

Jan Perrin, Ludwik książę de Broglie, (bracia ks. de Broglie) obaj wybitni uczeni) Fryderyk Joliot i jego małżonka, Irena Joliot-Curie, córka Marji Curie-Skłodowskiej — to czwórka francuskich laureatów nagrody Nobla za prace w zakresie fizyki, choć małżonkowie Joliot poświęcają się właściwie bardziej chemji, niż fizyce. Oni wszyscy, jako prawdziwi uczeni, nie tracą czasu na błahostki, wypełniające życie tym, których nie stać na rzeczy głębsze, wyższe, ciekawsze: nie szukają reklamy, nie udzielają wywiadów ,nie publikują komunikatów ani sensacyjnych wiadomości o wynikach swych prac. A prace te przecież zrewolucjonizowały naukę, rzuciły nowe światło na fakty uważane dotąd w nauce za podstawowe, proste, nie mogące nam spowodować żadnych niespodzianek. Zdobyli nagrody Nobla, ale pracują dalej, bez wytchnienia, zamknięci dobrowolnie w zaczarowanych laboratorjach, które dla nich są najcudowniejszymi pałacami: laboratorja zaludnione są w istocie tajemniczymi i skomplikowanymi aparatami, w ich wyobraźni zaś — zapełnione bezkresnymi formułami i wyliczeniami, z których kiedyś powstaną nietylko nowe godne nagrody Nobla wyniki teoretyczne, ale i praktyczne, tak ważne, i tak bardzo nowe, że nawet trudno nam przewidzieć ogrom ich znaczenia dla ludzkości.

Narazie nie słucham jeszcze ich słów (czy je aby zrozumiem — czy potrafię powtórzyć?): przyglądam się czterem pięknym głowom, przynoszącym zaszczyt ludzkości, czterem twarzom wyrzeźbionym przez głęboką myśl, twarzom pełnym równowagi, spokoju, godności, szlachetności. Nie szminka, fryzura, gest czy wyuczona poza nadają twarzy właściwy wyraz: kulturalność fizjognomji pochodzi nie z zewnątrz, ale z wewnątrz. Nie nerwowa wesołość ludzi, wiodących płytki żywot naszych smutnych czasów, nie zewnętrzne objawy humoru, często męczącego dla otoczenia. Prawdziwą radość zdobywają i mimowoli nią promieniują ci, którzy doszli do wyższych regjonów myśli... Radość ta jest w nich, a nie dookoła nich.

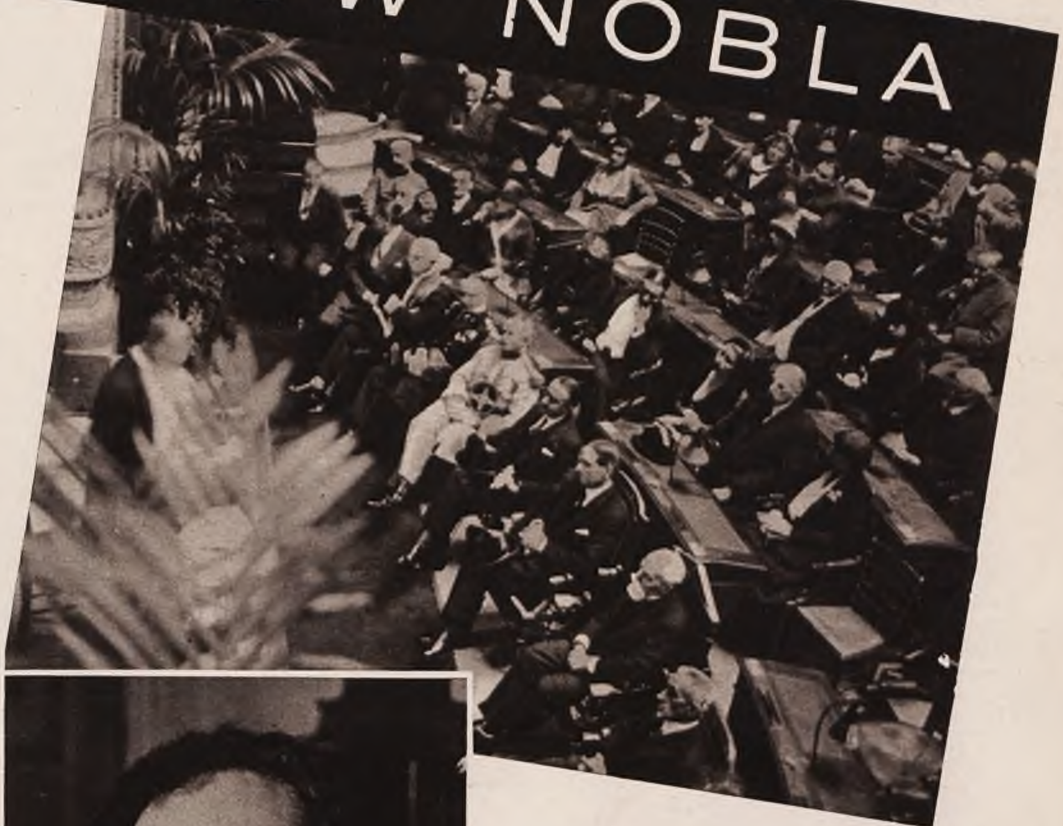
Za chwilę wyrazi nam tę myśl jednem zdaniem Irena Joliot-Curie, mówiąca po francusku melodyjnie, ale z akcentem polskim:

— Nie zapominamy znaczenia nauki z punktu widzenia społecznego, nauki która daje radość i piękno życiu!

W 1936 roku Irena Joliot zaczęła pracować społecznie: przyjęła zaproszenie ówczesnego premjera Leona Bluma i stanęła na czele podsekretarjatu stanu do spraw nauki. Szybko jednak przekonała się, że prawdziwy naukowiec nie powinien tracić czasu na to, co może robić ktoś inny: jego, w laboratorjum i nad stosami notat i wyliczeń fizycznych, nie zastąpi nikt.

Irena Joliot oddziedziczyła po Marji Skłodowskiej nietylko zamiłowanie do pracy naukowej, ale też geniusza, zyskującego tak matce, jak i córce Nagrodę Nobla! Podobnie jak Marja Curie, córka jej ubiera się nad wyraz skromnie, nie bywa, nie przyjmuje. Stanowi przeciwieństwo swej siostry Ewy, autorki znanej książki o Curie-Skłodowskiej. Nie zdziwiło mnie, że mimo osobistej znajomości, p. Irena Joliot-Curie odmówiła udzielenia wywiadu:

— Doprawdy, że nie mam czasu... Zresztą: co ja mogę powiedzieć? Czy to kogo interesuje? To są rzeczy tak specjalne... Ale niech się pan zwróci do mego męża...

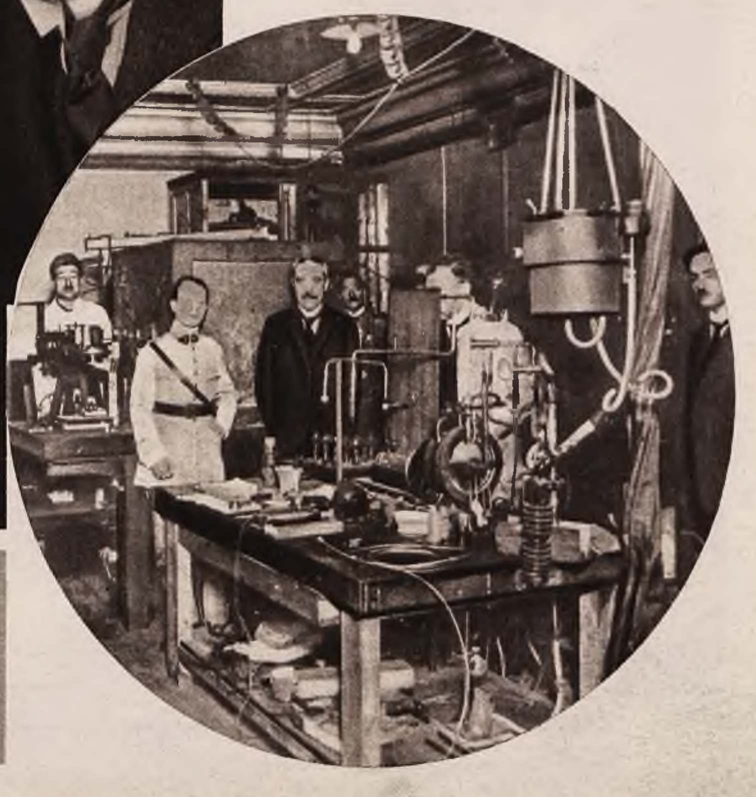


Na posiedzeniach naukowych towarzystw, a przedewszystkiem Akademji Nieśmiertelnych, publiczność stanowią najwybitniejsze postacie Paryża.

Uśmiecha się miło, spogląda jakoś dziwnie nieśmiało, choć miała odwagę rozbić odwieczne prawa o niemożności przemiany materji. Ubrana czarno, w czarnym kapeluszu, oszczędna w ruchach, w tłumie prze-



Powyżej: Ludwik ks. de Broglie, odznaczony nagrodą Nobla za pracę w dziedzinie fizyki.



Na prawo: Laureat Nobla ks. de Broglie w swojem laboratorjum.

szłaby niezauważona, choć tutaj wyróżniała się tem czemś, co trudno określić, a co nazwałem uprzednio „siłą wewnętrzną".

Joliot, profesor w „Collège de France", z którym rozmawiam po chwili, jest szczupły, dosyć wysoki, starannie uczesany, nosi kołnierzyk sztywny wykładany, i jedyny z pośród obecnych wybitnych uczonych i „Prix Nobel" sprawiłby elegantom przyjemność, nosi chusteczkę w kieszonce marynarki.... Mówi z ożywieniem, energicznie gestykulując, pełen zapału. Ta sama energja i zapał znamionują twarz jego. Widać wyraźnie, że ten człowiek umie nie zajmować się tem, co go nie interesuje, ale to co go interesuje robi z pełnem oddaniem.

Gdy proszę go o wywiad, powołując się na polecenie jego małżonki, mówi śmiejąc się:

— Ależ ona jest naprawdę „terrible"! Jeśli idzie o mnie, to będzie mi bardzo miło, ale dopiero za miesiąc: jestem obecnie w toku prac, których nie powinienem przerwać ani na chwilę. Dziś wyrwałem się doprawdy z trudem...

* * *

Tu winienem uczynić dygresję i powiedzieć to, co bardziej ortodokyjnie umieszcza się na początku opowiadania, lecz tym razem chciałem zachować naturalny bieg mej myśli, a nie śledzić za kartkami moich notatek. Rozmowy powyższe toczą się w salonie „Accueil Français", zgrupowania najpoważniejszych dziennikarzy paryskich, które postawiło sobie za cel ułatwić co jakiś czas kontakty prasie zagranicznej i francuskiej z najwybitniejszymi osobistościami francuskimi. Sekretarką generalną tej organizacji jest pani Le Verrier, dyrektorka „Europe Nouvelle"; sekunduje jej Suzanne Grünberg. Dziś słowo wstępne wygłosił znany dziennikarz Jacques Kaiser (referent w Radzie Ministrów) i oddał głos profesorowi Emilowi Borrel. Ten ostatni również wybitny fizyk francuski — podjął się przedstawienia czterech obecnych kolegów, laureatów Nobla. A podjął się tej roli z tytułu potrójnego: jako były dziennikarz, jako sympatyk współpracy międzynarodowej i jako wielki uczony. Choć były minister, jest on typowym uczonym (bez chusteczki w kieszonce!..): twarz ozdobiona siwawym włosem, jest dosyć sucha. Lecz mały wąsik i szpiczasta bródka doskonale zgadzają się z wyrazem dobroci, a przenikliwy wzrok zdaje się wszystko widzieć, wszystko dobrotliwie rozumieć, rozgrzeszać, rozwiązywać...

Skorzystał Prof. Borrel ze swego przemówienia, by wyrazić nasamprzód pogląd na międzynarodowy charakter nauki. Słowa jego są szczególnie na czasie wobec taktyki państw totalnych. Jako pierwszego mówcę przedstawił profesora Jean Perrin, najstarszego wiekiem z czterech obecnych „laureatów nagrody fizyki", najstarszego też jej posiadacza.

— Jean Perrin to „homme des atomes" (człowiek od atomów). Dał atomom życie, realność doświadczalną. Do jego czasów fizycy igrali miljonami atomów teoretycznie. On pierwszy wpadł na pomysł posłużenia się cząsteczkami zespołów atomów, choć również niezwykle małymi, by tą drogą móc samymi atomami operować laboratoryjnie.

— Broglie, członek „Académie des Sciences", poświęcił się poszukiwaniom bardziej teoretycznym, abstrakcyjnym. Są to prace tak trudne, dziedzina tak szalenie niedostępna, że trudno nawet w kilku słowach scharakteryzować ten dorobek. Łatwiej o ogólne porównanie. W ciągu wieków uczeni dyskutowali o świetle: Newton uważał je za ruch niezwykle drobnych cząsteczek, szybko się poruszających. Powstała idea o cząsteczkach, przewodzących światło, jak cząsteczki wody przenoszą ruch fal. Dopiero w XIX-tym wieku Fresnel sformułował swą słynną i epokową „teorję ondulacyj". Obdarzony umysłem jasnym i genjalnym, dokonał Broglie syntezy: powstała nauka, zwana mechaniką ondulacyj (falowań).

— Fr. Joliot i Irena Joliot-Curie zaprzęgli się do pracy, z którą związane jest nazwisko ich słynnych rodziców. Niezwykle trudno polepszyć dorobek rodziców, zwłaszcza dorobek epokowy. Tymczasem wyniki osiągnięte przez Franciszka i Irenę Joliot i przypieczętowane nagrodą Nobla, doprowadziłyby ojców matematyki i fizyki do ataku furji (délire): pasjonujący problem transmutacji, nierozwiązalny od początku świata, a intrygujący umysły alchemików wszystkich czasów, został w zasadzie zgłębiony. Aby tworzyć nową energję potrzebny był nowy Prometeusz. Życzymy, aby Fryderyk Joliot i Irena Joliot-Curie byli nowym Prometeuszami ludzkości dla jej szczęścia i pokoju!

* * *

Z kolei zabrał głos Jean Perrin. Na początku tego sprawozdania opisaliśmy cechy wspólne, łączące w naszej wyobraźni słynnych uczonych, przed którymi się znajdowałem. Z pod bielutkich włosów wystaje piękne, wypukłe, mądre czoło Profesora Perrin'a. Kołnierzyk miękki, swoboda ruchów, mówi łagodnie, z łatwością, z prostotą, właściwą naprawdę wielkim, właściwą jego przedmowcom. Wzrok bystry: bez okularów czyta swój przygotowany tekst, pisany ręcznie wielkiemi mocnymi literami. Napewno ani chwili nie potrafi on ustać bezczynnie i spokojnie. Czyta o odkryciach, które przeistoczyły świat, i to w tak krótkim czasie. Powstaje ideał życia bogatego i szczęśliwego, ucieczka w nowe światy (nad czem pracują obecnie państwo Joliot), bez chorób, bez starości (którą umie się już zwalczać), w harmonji duszy i ciała! Ale pomoc prasy jest w urzeczywistnieniu tego planu niezbędna. Bo potrzebna jest wolność myśli. Trzeba potępić barbarzyństwo, cynizm i okrucieństwo, panujące obecnie w pewnych krajach. Trzeba mówić o postępie w innych krajach.

Dodajmy, że Prof Perrin był podsekretarzem stanu do spraw organizacji naukowej i badań naukowych, będąc członkiem tego samego rządu co Irena Joliot-Curie.

Dodajmy, że Fryderyk Joliot jest przewodniczącym sekcji nauki francuskiej na wystawie nowojorskiej (1939): przemawiając wspomniał o pionierskich zasługach uczonych francuskich w najprzeróżniejszych dziedzinach: Lavoisier, Claude Bernard, Pasteur, Ampère.

Czwarty z obecnych laureatów Nobla, Ludwik książę de Broglie, jest arystokratą w każdym ruchu. Elegancka wysmukła sylwetka; twarz pogodna, pociągła, delikatna, wyrażająca uprzejmość, spoglądająca ciekawie. Kołnierz sztywny, perła w krawacie. Bez gestu opowiada nam o roli nauki francuskiej w przeszłości i o jej promieniowaniu.

Powiem jeszcze, na zakończenie, że choć miałem styczność z wieloma wybitnymi osobistościami ze świata nauki, sztuki, dyplomacji, rzadko kiedy wrażenie było równie silne. **Zygmunt Frenkiel (Paryż).**

GIMNASTYCY



1 Rzekł raz człowiek: — To zagadka,
Czym zręczniejszy od niedźwiadka?



2 Tak się również wspinać można,
Jak istota czworonożna!



3 Jedną ręką — jedną łapą...
Zręczność równa! Więc — da capo!



4 Wierszyk ten jest bez pointe'y:
Spór nie został rozstrzygnięty!

B. B.

REHABILITACJA

WIESŁAW GORECKI

FRAGMENT

Kilka godzin przed decydującym atakiem podniósł się w kompanji niebywały wrzask:

— Wujaszek!

Niesiono go na rękach. Podrzucano w górę. Ściskano i całowano. Ryczano.

— Myślicie, że wam odśpiewam jaką tenorową arję, skoro witacie mnie owacyjnie, jak śpiewaka? O wy draby — sapał wuj, pochrząkując nieznacznie. Już myślałem, że będę miał szczęście nieoglądania waszych służbowych oblicz. Ale los zawziął się na mnie. Myśleliście, że wrócę do cywila? Ja, Antoni Skarski? Słyszałem, że macie coś do pozamiatania po przeciwnej stronie.

— Mamy, mamy a jakże. Ślicznie wujaszku uczyniłeś, żeś się pojawił. Spadasz nam z pieca na łeb. Mamy dla ciebie niespodziankę. Zgadnij.

— Może jakowe godziwe jadło i napoje?

— Z tem trochę gorzej. Ale mamy dla ciebie pokarm duchowy. Słuchaj uważnie. Twój siostrzeniec jest z nami. Cóż ty na to?

— Siostrzeniec — widziałem go prosperującego w kancelarji. Nawet dlatego mu ręki nie podałem. Bo mogłem podać lewą. A swoją drogą wyglądałoby to na demonstację. Że niby ja bez ręki a ty tu psujesz powietrze w bezpiecznem zaciszu.

— No, chyba teraz pogodzicie się.

— Mogę mu wspaniałomyślnie wybaczyć wszelkie krzywdy. Skoro jest z nami...

— Siostrzeniec! Gdzie jest? Dawać go tu! Szukajcie Wierszyńskiego!

Ale wszelkie poszukiwania nie odniosły skutku. Siostrzeniec przepadł. Może bestja stchórzył przed atakiem.

Wuj zdaje się rozmyślał na podobny temat, gdyż stracił humor. Nie na długo. Rozpoczęło się opowiadanie o leżeniu w szpitalu, w którym kwiat pielęgniarek zasypywał go dowodami uznania.

— Ale panu t. zn. mojej własnej osobie głupstwa z głowy wywietrzały po wsze czasy. Przyjechałem na inspekcję. Sprawdzić czy wszystko w porządku. Muszę się nauczyć grać lewą ręką w karty. Kłopot na stare lata. Bo pisać już umiem nieźle.

Liljowy zmierzch przeciągnął po widnokręgu i czerń obojętna wsączała się coraz intensywniej w przygasające barwy. Czekano na rozkaz wypadnięcia z okopów. W ciemności, wuj pogadywał:

— Oto dla mnie żywioł w sam raz. Nic nie wiadomo, co nastąpi, co gdzie kiedy z kim i jak. Właściwie w życiu najciekawsza jest niepewność. Ponieważ jest ona dominantą wszystkiego, należy wyciągać z niej maksimum walorów. Jakbym wiedział, że zdechnę przy ataku, trząsłbym się ze strachu. A jakbym wiedział, że nie spotka mnie nic złego, nie przeżywałbym emocyj.

Wreszcie padł rozkaz: Do ataku. Runęli przed siebie. Cwałowali przez stratowane pole. Dokoła huk. Jęki. Naprzód! Jasność pocisków zdawała się skręcać ciemne sklepienie nieba. Za sekundę wszystko gasło, aby znów rozjarzyć się mgnieniem błyskawicy. Naprzeciw nich poczęła się czernić wrzeszcząca chmara ludzi. Dopadli jej. Wrzaski i wycia stopiły się w jedno. Łomotały głucho działa, nie wyrządzając żadnej szkody. Ratatata — ratatata — pogadywał natomiast karabin maszynowy. Walili się coraz gęściej na ziemię. Naraz — co się stało... przestrzeń przed nim pustoszeje... Moskale cofają się. Za nimi! Won chamy! Dalej!

Wracano w rozradowaniu. Wzięto 62 jeńców i popsuto niektóre urządzenia okopowe. Wydzierano się z radości. Duma rozpierała wszystkich. Wuj, machając swą lewą ręką, w której tkwił karabin, krzyczał:

— Jeszcze się przydam na coś. Strzelać ani dudu. Ale jak huknąłem jednego pasażera, to się nakrył wszystkiemi nogami. Można rzec: strzeliłem go w przenośni. Inni oburącz strzelają bąki, a ja jednoręcznie strzelam przeciwników po mordach... Z rozkoszą zażywali dobrze zasłużonego odpoczynku.

— — — — — — — — —

Było już dobrze po północy, kiedy jakaś postać poczęła się przesuwać wzdłuż okopów Po chwili owa postać oddaliła się od legjonowych placówek.

Cisza rozsiadła się z zadowoleniem na buchającej przed godziną zgiełkiem, obecnie zmartwiałej przestrzeni. Postać zatrzymywała się co chwilę, wpatrywała w ziemię, wykręcała głowę dokoła. Poczem zmierzała przed siebie. Przyłożyła rękę do ust, wołając przytłumionym głosem:

— Leszek... Leszek...

Żadnej odpowiedzi. Postać ruszyła w dalszą drogę. Niebawem gwiazdy przybladły. Ponura szarość wydobywała się z postrzępionych chmur. Z dala dobiegał nadzwyczaj nieśmiały ptasi świegot.

— Leszku. Odezwij się. To ja. Leszku!...

W tem postać potknęła się o coś, leżące u wylotu lasu. Przyklęknęła. Wybełkotała:

— Jesteś. Ach, ty. Cóżeś narobił... Jak mogłeś...

Zmętniałe odbłyski słońca przedzierającego się niechętnie przez szarzyznę, zwolna oświetlały dwóch ludzi. Klęczący dźwigał głowę leżącego.

— Co cię tu zaniosło? Co pocznę teraz... Obejmij mnie rękami.

— Psu na budę. Daj spokój. Dobrze, że mnie znalazłeś. Czuję się wcale nieźle. A wyście pewnie myśleli ,żem zwiał przed atakiem.

— Nie gadaj nic. To cię męczy. Czekaj. Mam bandaże ze sobą. Zatamuję ci krew.

— Głupstwo. Powiedz czy wierzysz, że wtedy działałem na twoją szkodę? Wtedy, jak Sienka odrzuciła nasze konkury...

— Nie. Nie wierzę. Leżże spokojnie. Skąd się tu wziąłeś?

— A, to było tak...

— Ależ nie mów nic. Idjota jestem. Sam cię pytam, nie wiedzieć po co. Jak będziesz u nas, opowiesz wszystko.

— Nie, wujaszku. Muszę ci teraz powiedzieć. Więc tego — usłyszałem, żeś przyjechał. Zimno mi się zrobiło. Mógłby mnie spotkać powtórny afront. Nie podałbyś mi ręki...

— Ależ podałbym. Przysięgam. Żeby mnie tak najjaśniejsze pioruny.

— Wolałem nie ryzykować. A słyszałem. że w pobliżu Kopernicy jest u Moskali karabin maszynowy. Pomyślałem — możnaby.. I wiesz co? Dostałem się na ich stronę...

— Już dobrze. Dobrze. Wierzę.

Z temi słowami wuj kończył mozolnie bandażowanie głowy siostrzeńca.

— Ale nie wiesz, jak to zrobiłem. Popatrz się, w czem jestem.

Wuj dostrzegł na siostrzeńcu szynel rosyjski.

— Ach. Teraz widzę. Poszedłeś w szynelu

— Wziąłem go od jednego jeńca. Miałem na ręce, jak przechodziłem przez nasze placówki. A potem na czworakach. Wyobraź sobie. Co chwila rozciągałem się na ziemi, niby, że trup ze mnie, albo dogorywający Ile to trwało godzin! Nie wiem. Oj wujaszku. Musiałem dostać w brzuch, bo mi tak potwornie chce się pić.

— No... jeżeli cię kula drasnęła w brzuch, to lepiej nic nie pić. Wiesz, że to może po gorszyć.

— To lekarze tak na złość mówią. Pastwią się nad bezsilnymi. Wujaszku! Poszukaj wody. Och Boże, Boże... ześlij deszcz.

— Czekaj. Najpierw zobaczę, czy naprawdę dostałeś w brzuszynę.

Wuj rozedrganą ręką rozpiął szynel, kurtkę, spodnie, wyciągnął na wierzch koszulę.

— No, jak tam, signor dottore?

— Iiii — nic ważnego. Trochę cię zajechało. Wiesz co? Staraj się powstrzymać pragnienie, a przejdzie ci to.

— To znaczy, żem w porządku oberwał, skoro mi nie chcesz dać wody.

— Ależ osioł jesteś. Tylko nie chcę wywołać komplikacyj.

— Słuchaj. Ty się nie śmiej, że mi z oczu spływa coś mokrego. Nie posądzasz mnie chyba, żebym płakał.

— Też coś. Jest ranna rosa, to osiadła ci na paszczęce.

— Więc dotarłem tak do rosyjskich pozycyj. Tam starym zwyczajem, leżałem opodal placówki i czekałem, aż podsłucham hasło. Zupełnie jak w powieści. Ktoś tam przechodził, warta krzyknęła: pastoj. Kto idiot? I usłyszałem: batiuszka. Dobre. Już mam hasło. Walę na całego. Krzyczę: batiuszka. Przepuścił mnie.

— Miałeś szczęście, niema co.

— No widzisz. A potem szukałem, gdzie postawili karabin maszynowy. Nie miałem pojęcia, jak się z tym obchodzi. Kilku sołdatów drzemało przy nim. Myślę sobie: raz kozie śmierć. Przybliżyłem się, potem wyciągnąłem się koło nich... że to niby jeden z obsługi. A trząsłem się ze strachu...

— Nie dziwię się. Każdy na twoim miejscu pękałby ze strachu.

— A ty?

— O — ja... napewno pękłbym pierwszy.

— To dobrze. Jakeście się zbliżali, uważałem dokładnie. Potem naraz skoczyłem i skierowałem maszynkę wprost w nich. Co to się nie działo. Okropność. Aż jakiś oficer z boku zawrzeszczał: skatina, czy może swołocz! Czto zdiełasz czy jak tam. Nie pamiętam. Ciął mnie szablą. Wywaliłem się na ziemię. Potem to deptali po mnie, tratowali. Nie wiem, kiedy mogłem dostać w brzuch. Tyle strzałów było dokoła. Zacząłem się czołgać, kiedy wkoło mnie nie było nikogo. Ale to szło ciężko. A teraz słuchaj... czy będzie o mnie w rozkazie?

— Naturalnie.

— A jak będzie?

— Myślę, że tak: Komenda Pierwszej Brygady Legjonów polskich, rozkaz nr. taki a taki: w związku z wczorajszą wycieczką do okopów nieprzyjacielskich, podnieść należy niebywałą odwagę szeregowca Leszka Wierszyńskiego...

— Eee — niebywałą. Zawsze przesadzasz.

— Ależ napewno. Więc na czem to ja stanąłem?

— ...Leszka Wierszyńskiego...

— Tak. Tak. Leszka Wierszyńskiego, który, dopomógł walnie do zwycięstwa, przekradłszy się...

— No, mów dalej. Zresztą już wszyscy nadchodzą. Popatrz się widzisz? Wszyscy koledzy. Że im się chciało tu przyjść.

— No — tak. Przyszli, bo chcą być świadkiem odczytywania rozkazu.

— A On...

— Gdzie masz okulary? Może stłukłeś...

— Powinny być w tej kieszeni. Zobacz. Ale prędko...

— Zaraz. Zaraz. Są. Trochę się rozbiły. Ale to nic. Patrzcie się. Widzisz?

— Jest. Myślałem, że mi się przywidziało. Ale nie widzi mnie. Powiedz mu, że tu jestem. Może dlatego nie widzi, że ja już jadę w dół. Zatrzymaj mnie.

— Panie Komendancie. Melduję posłusznie... szeregowiec Leszek...

Pozłocistość słońca przebiegała przez wierzchołki drzew. Zabłysły promienie na stłuczonych okularach leżącego, który zwiesił głowę, słuchając raportu. Widocznie orkiestra zagrała marsza pułkowego, bo dźwięki potężniały i rosły. Z ust leżącego wyciekł szept:

— Panie Komen...



UŁANI
W BITWIE POD KOMAROWEM.
MALOWAŁ JERZY KOSSAK.



WESOŁY PRZEWODNIK PO ŚWIECIE: MONACO

O pewnym krupjerze, Monakijczyku, mówiono, że pochodzi z dobrego domu... gry. Monakijczyków można przyrównać do matematyków: wszyscy żyją z cyfr i liczb — na ruletce.

Jest to zresztą szczęśliwe państwo. Niema tam stronnictw, niema „białych" ani „czerwonych". Jest tylko — czarne i czerwone, rouge et noir. 20 tysięcy mieszkańców Monaco żyje sobie beztrosko pod protektoratem Francji, oraz turystów zagranicznych.

Turyści zagraniczni mają do obejrzenia w Monaco kilka ciekawych rzeczy: a więc — muzeum oceanograficzne, kasyno gry i swoje własne, wydłużone oblicza, po wizycie w kasynie...

W muzeum oceanograficznem, największem w Europie, pływają przedziwne ryby i zdumiewające dziwotwory morskie. W kasynie też spotkać można wiele grubych ryb, chociaż nie brak i drobnych płotek.

Jadąc do Monaco trzeba przedewszystkiem nauczyć się — rozumieć dwa zasadnicze zdania, jakie najczęściej rozbrzmiewają w tym pięknym kraju:

Pierwsze to — „faites vos jeux, messieurs" — co znaczy mniej więcej: „patrzcie, z czego chleb" — oraz „rien ne va plus" — co znaczy po polsku: „już tym razem nie możecie więcej przegrać"...

Znając te zasadnicze hasła, trzeba zamienić własną dobrą gotówkę na sztony i zasiąść przy stole, na którym stoi ruletka. Jak należy grać w ruletkę?

Jest kilka miljonów systemów.

Jedne z nich zalecają stawianie wyłącznie na liczby, które dają się podzielić bez reszty — przez siedem. Inne tylko na trzynastkę, albo na dwukrotność trzynastki, czyli na 26. Jeszcze inne zachwalają ryzykowanie — na datę swoich urodzin, albo na datę imienin najstarszej córeczki...

Zazwyczaj jednak, gdy stawiamy na datę swoich urodzin — „wypada" zawsze liczba, odpowiadająca ściśle dacie imienin najstarszej córeczki, a gdy zaryzykujemy na córeczkę — wyskoczy data płatności najmłodszego weksla.

Jak więc widać, gra w ruletkę nie należy do najłatwiejszych systemów „dojścia do pieniędzy".

Jednakże od czasu do czasu pojawia się w pismach całego świata wiadomość, że niejaki dr. Fayfeless z Amsterdamu, który po raz pierwszy odwiedził kasyno w Monte Carlo, rozbił bank w drobny mak i zainkasowawszy miljon franków, odjechał do rodzinnego miasta.

Wobec tego wszyscy gracze całego świata, którzy już przestali łudzić się nadzieją, że ruletka ich wzbogaci — zaczynają gwałtownie zbierać fundusze na podróż do Monaco...

Nie nęcą ich, rzecz jasna, piękne okolice Monte Carlo, ani nawet wspomnienie muzeum, lecz ów „bank", który dał się rozbić szczęśliwemu doktorowi z Amsterdamu.

Ale najczęściej bank okazuje się nie do rozbicia i rozczarowany przybysz sprzedaje neseser, żeby za otrzymane pieniądze nabyć mało używany rewolwer... Wówczas dopiero wychodzi na jaw, że dyrekcja kasyna pochodzi istotnie z dobrego domu — gry, gdyż w ostatniej chwili przedstawiciel tej instytucji wręcza spłókanemu turyście bilet kolejowy, aby nieborak mógł „beztrosko" powrócić w domowe pielesze.



Operetkowa armja księstwa Monaco jest jedną z atrakcyj tego maleńkiego państewka.

O stolicy Monaco — Monte Carlo, powiedział pewien spostrzegawczy turysta, że samo miasto jest pięknie położone, gmach kasyna pięknie postawiony, a wierni klienci przeważnie pięknie i własnoręcznie — powieszeni.

Całe państewko jest poza tem tak małe, że gdy pewnego dnia książę Monaco zapragnął urządzić polowanie na „grubego zwierza", t. j. na wróble, odradzono mu tej zabawy, w obawie, że Francja i Włochy mogłyby pomyśleć, że są ostrzeliwane przez bohaterskich Monakijczyków...

Monaco posiada wspaniałą armję, w sile kilkudziesięciu pierwszorzędnych żołnierzy i kilku znakomitych oficerów. Ale państwo to jest ożywione ideą pokoju i bynajmniej nie zamierza rozpocząć wojny, ani nawet nikogo „okrążać".

Na ten temat jeden z wybitnych dyplomatów monakijskich oświadczył niedawno:

— Nie mamy zamiaru nikomu grać na nerwach. Niech inni grają — ale w naszem kasynie. To nam w zupełności wystarczy...

Można sobie zadać pytanie, czy w epoce wielkich imperjalizmów, takie małe twory, jak Liechtenstein, czy Monaco — powinny się „ostać"?

Czy w czasach, gdy jeden naród twierdzi, że jego 80 miljonów mieszkańców, to 80 miljonów żołnierzy — państewko, dysponujące armją, złożoną tylko z 80 — tylko 80! — żołnierzy, nie budzi uśmiechu politowania?

Sądzimy, że napewno — nie.

Takie Monaca, to miłe rezerwaty, które pozwalają nam jeszcze wierzyć w ludzkość ludzi i ich wielkoduszność.

— Niech sobie egzystuje mój maleńki sąsiad — mówią potężni sąsiedzi. — Przecież we wszechświecie też wirują obok olbrzymich planet, maleńkie planetoidy...

Tak więc nie tylko jest życzeniem namiętnych hazardzistów, żeby Monaco — „pokój do gry" Europy — istniało jak najdłużej. Wszyscy demokraci życzą Monacu, aby powodziło mu się doskonale!

Bogdan Brzeziński.

MARJA GORCZYŃSKA

GWIAZDY NA WEEK-END'ZIE





...Gorczyńska jest zapaloną ogrodniczką...

Klasyczna willa podmiejska z nasłonecznionemi tarasami, cienistemi pergolami, cała w krasie płomiennych scarletow i niemniej od nich gorących w barwie grządek nasturcji. Tu w tym rozkosznym zakątku, wśród przepysznych lasów podwarszawskiego letniska schroniła się przed kanikułą wielkiego miasta gwiazda scen polskich i filmu pani Marja Gorczyńska.

Artystka gra obecnie w Teatrze Narodowym w komedji Flers'a i Caillavet'a „Święty Gaj". O wyjeździe zatem gdzieś dalej, na zasłużony urlop czy kurację nie ma na razie mowy. Aby więc połączyć obowiązki bodaj z namiastką letnich wywczasów, zamieszkała pani Gorczyńska pod Warszawą i stąd codziennie wieczorem jedzie do miata do teatru, do pracy.

— Jednem słowem prowadzę podwójne życie — zwierza się piękna artystka z uśmiechem, gdy dzięki miłemu zaproszeniu znalazłam się w pewien upalny dzionek na tarasie pełnym słońca i kwiatów jej letniego home, przy autentycznym wiejskim podwieczorku, w gronie najbliższych przyjaciół pani Marji.

— Oooo!!! — rozległ się zgodny chór niedowierzania.

— A tak moi państwo — ciągnie niezrażona tem miła gosposia. Tylko posłuchajcie. W dzień bawię się w letniczkę w całem tego słowa znaczeniu. Wysypiam się, leżakuję opalam, trochę czytam, lecz nie zadużo, trochę gospodarzę, doglądam pomidorów, karmię gromadkę uroczych perliczek i kurczątek, które biegają za mną jak „za matką"... A co najważniejsza nie przyjmuję żadnych telefonów, nie myślę o żadnych interesach, kontraktach, nowych rolach i tem podobnych zmorach, które zjadają nasze nerwy i siły. Lecz z chwilą, gdy o godzinie siódmej wieczorem zajeżdża po mnie samochód, kończy się ta sielanka i zaczyna drugie życie, to nocne. Z bosonogiej letniczki w problematycznych szatach, przeobrażam się w wielkomiejską damę, bo właśnie taką postać kreuję w „Świętym Gaju" i punktualnie o godzinie 8-ej stoję przy warsztacie pracy.

— Co, i na tem koniec? — pyta ktoś mocno zawiedziony. Sądziliśmy, że teraz właśnie zacznie się najciekawszy rozdział opowieści! Widziałem już w myślach scenarjusz wielce frapującego filmu pt. „Drugie życie pani Marji" z Gorczyńską w tytułowej roli!

— Nic z tego! — kończy artystka, śmiejąc się serdecznie.

— Ale à propos filmu — pytam — podobno ma pani w najbliższym czasie nakręcać coś nowego?

— Ta sprawa nie jest na razie aktualna — odpowiada pani Marja. Po tem „podwójnem życiu" muszę jednakże wypocząć gruntownie. Jak tylko skończę grać w Narodowym, wyjeżdżam na kilka tygodni do Krynicy. Od kwietnia nie miałam jednej wolnej chwili, próby i granie w trzech sztukach pod rząd. To przecież nielada wyczyn po dwuletniej przerwie, spowodowanej moją chorobą na skutek wypadku autobusowego. Ach, ileż zwłaszcza nerwów kosztowała mnie pierwsza bardzo trudna rola Anaktorji w „Popielatym welonie"!

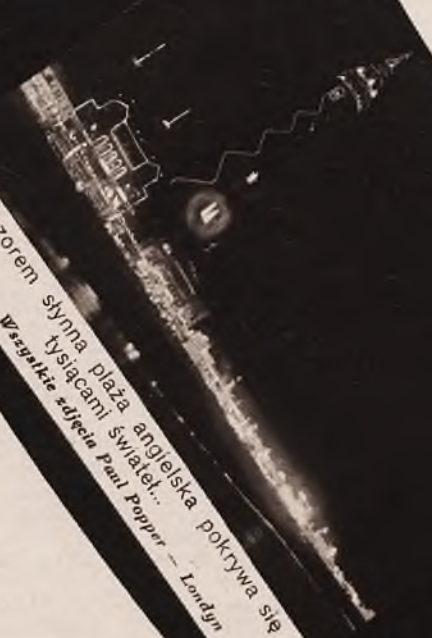
— Ale wypoczynek to dziś ważniejsze ponad wszystkie sprawy — uśmiechnęła się artystka, i swemi znanemi z piękności rączkami z wymanikurowanemi na rubinowo paznokietkami podała przyjaciółce talerz pachnących słońcem i lasem jagód.

Z. Ord.



...i lubi wygrzewać się na słońcu!

BLACKPOOL — RAJ WEEKENDOWY



Wieczorem słynna plaża angielska pokrywa się tysiącami świateł...

Wszystkie zdjęcia Paul Popper — Londyn



A oto pływalnia w Blackpool, która uchodzi za największą w całej Anglji.



Powyżej: Fragment plaży w Blackpool





Dużą atrakcją sezonu w Blackpool są konkursy piękności, których uczestniczki ukazują się sędziom w... maskach.



Samo miasto posiada również wiele pięknych ulic i placów: pomnik pamiątkowy wystawiony ku czci poległych żołnierzy w wielkiej wojnie.

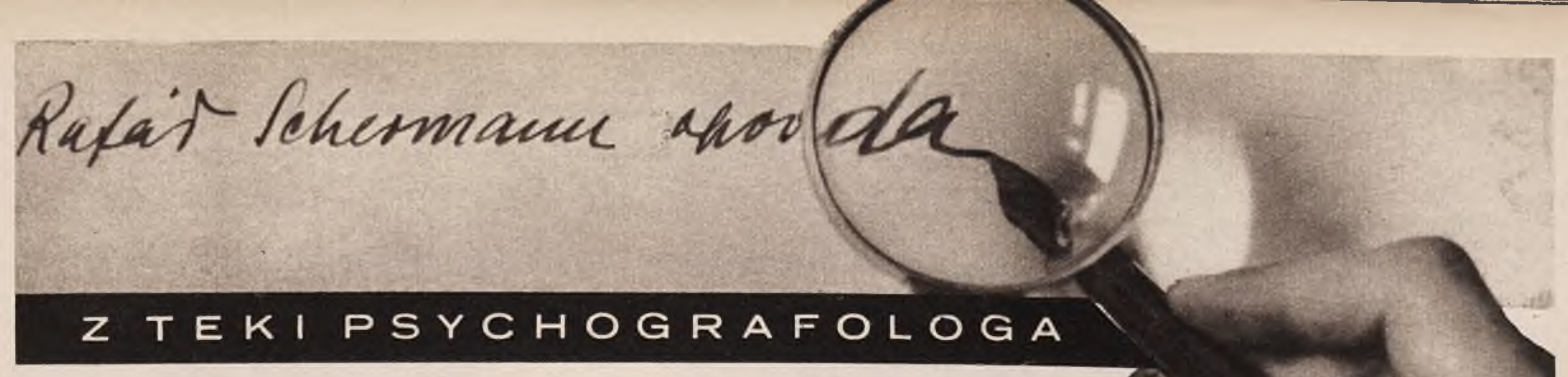
Najszczęśliwsi ludzie to ci, którzy w upalne dnie letnie nie muszą siedzieć w mieście, a mogą spędzać beztrosko swój czas w zdrojowiskach lub na letniskach.

Autostrady, szosy i drogi angielskie przybierają z końcem każdego tygodnia swoisty wygląd. Panuje na nich ożywiony ruch automobilowy, motocyklowy i rowerowy. Specjalnem powodzeniem cieszą się miejscowości nadmorskie. To amatorzy week-endu dążą na plażę. Wszystkie jednak miasta pod tym względem pobiło miasto-plaża, Blackpool. Rok rocznie gości tutaj ponad siedem miljonów letników, a z końcem każdego tygodnia przybywają setki aut zwolenników week-end'u w tych stronach. Główną atrakcją jego jest rozległa ciągnąca się na przestrzeni dziesięciu kilometrów plaża w pobliżu której znajdują się wspaniałe baseny kąpielowe, najnowocześniej urządzone z wszelkiemi urządzeniami do zabaw wodnych. Tak, jak symbolem tego miasta jest wysoka na 520 stóp wieża, odwiedzana bardzo chętnie przez stałych bywalców w bardzo oryginalnym celu... splunięcia na ciągnące się głęboko w dole rzędy ulic i kamienic, tak dewizą jest amerykańska zasada „keep-smiling". Ma ona tutaj zastosowanie w całej swej rozciągłości.

Plaża w Blackpool jest jedyna w swoim rodzaju. Obok budek znajdują się tutaj długie szeregi leżaków, a na jej skraju ławek, zajęte przez tłumy spragnione słońca i wypoczynku. Dużem powodzeniem u pań cieszą się przejażdżki wzdłuż wybrzeża dwukonnym rydwanem. Atrakcją tej plaży są urządzane co pewien czas konkursy zgrabności, do których stają urocze, a zgrabne przedstawicielki płci pięknej, a ponieważ jury stanowią mężczyźni, którzy jak wiadomo nie są objektywni w tych sprawach, przeto kandydatki do tytułu królowej zgrabności mają maski na twarzach.

Zwolennicy tańca oddają się swej namiętności na dużej, mogącej pomieścić cztery tysiące, sali „The Winter Garden". Jest ona stale przepełniona, a największem powodzeniem cieszą się występy „Baletu Lodowego" w specjalnych kostjumach oraz baletu dziecinnego. Ale istnieją też takie atrakcje jak Teatr Indjan, Sala strachów. Jaskinia wodna.

Jedynym śladem po pierwszych przybyszach cyganach są chętnie używane przez panie w czasie pobytu w Blackpool perfumy „Gypsy Love Drops", które zyskują im jeszcze więcej powodzenia — i czarują ich wszystkich towarzyszy. **Mgr. Stok Stanisław.**



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Przed mniej więcej 6 laty chorowała pani ciężko: lekarze przypuszczali, że choroba usadowiła się w głowie lub w systemie wzrokowym lecz djagnoza ta była fałszywa: chodziło tu o chorobę żołądka będącą następstwem gwałtownego obchudzenia. Od półtora roku cierpi pani na silny spadek sił co znowu łączy się z nieszczęsnem obchudzaniem. Nieraz się pani zdarza, że zamykają się pani oczy w chwili kiedy pani siada do biurka by pracować literacko. Nawet długie wysypianie się pani nie pomaga, gdyż po dobrze przespanej nocy jest pani również zmęczoną jak przedtem. Skutkiem obchudzania jest jeszcze inny objaw a mianowicie: 2 palce u nogi poczynają zanikać. Widzę dokładnie, że dolna część środkowego palca i przedostatniego palca u prawej nogi są bez czucia: można je nawet kłuć igłą, a one wcale nie reagują.

Pani Aubray niezwykle zdziwiona mojemi słowami potwierdziła djagnozę z tem tylko zastrzeżeniem, że palce jej nie są bynajmniej bez czucia. Niestety musiałem złudzenie mojej kijentki rozwiać.

— Pani się myli, również szczegóły odnoszące się do pani palców u nóg zgadzają się w pełni i to właśnie było powodem mojej wesołości gdy państwo weszli do mojego pokoju, gdyż przed oczami moimi zarysowała się scena jak pani nie bacząc na obecność dwóch mężczyzn zdejmie pończochy i pantofle i pocznie szczypać swoje palce. Nie skończyłem jeszcze mówić kiedy pani Aubray gwałtownym ruchem zdjęła z prawej nogi pantofel i pończochę i zaczęła szczypać palce o których była mowa. Naraz krzyknęła przerażona:

— Panie Schermann, pan ma rację!

Djagnoza moja znów była (tym razem niestety) prawdziwą, chodziło jednak o uspokojenie mojej klijentki.

— Obumieranie obu palców u nóg, wskutek gwałtownego obchudzenia, jest tylko ostrzeżeniem natury. Jeszcze nie jest zapóźno. Wyszedłszy odemnie powinna pani zaraz zwrócić się do lekarza, a widzę z pisma, że będzie pani wyleczona. — Pani Aubray była niezwykle szczęśliwa, że ją w czas ostrzegłem i dziękowała mi serdecznie obiecując, że usłucha moich wskazówek.

* * *

Dnia 7-go grudnia 1933 roku udałem się z Triestu do Paryża. W moim przedziale zajął miejsce elegancki starszy pan w wieku około lat 60, a nie mając innych współpasażerów nawiązałem z nim wnet rozmowę. — Mój towarzysz, Dymitr S., był eks-ministrem, a słysząc o mnie już niejednokrotnie, począł ze mną omawiać tematy psychografologiczne. W chwili gdy pociąg zatrzymał się na jednej z stacyj, napisał na kartce kilka słów, prosząc mnie, abym poddał je ekspertyzie. Tekst brzmiał: „Byłem dawniej posłem w B... 7 grudzień 1933 r. S.". — Ledwo skończył pisać, a już przed moimi oczami stanął ciekawy obraz, o którym zaraz mu opowiedziałem. — Nie uczyniłem tego jednak słownie, lecz wziąwszy ołówek narysowałem na papierze dwie nogi: w okolicy bioder zaś narysowałem na prawej nodze punktowaną elipsę.

— W tem miejscu odczuwa pan, ekscelencjo, ciągłe bóle — rzekłem do mego towarzysza podróży.

Minister, zdziwiony, poderwał się z swego miejsca, ja natomiast dotknąłem ręką bolącego miejsca na jego nodze. Niezwykle zaskoczony dał wyraz temu uczuciu pisząc na odwrocie kartki: „Jakim sposobem wywnioskował pan z mego pisma, że odczuwam w prawej nodze bóle?"

Zdarza się nieraz, że dopiero „ex post" orjentuję się w szczegółach, które spowodowały moją analizę: tym razem punktem wyjścia mej ekspertyzy był końcowy zawijas w słowie „war". Zawijas ten, który dopisany jest później do końcowej litery „r", wskazuje na ruch ręki ministra, która często dotyka bolesnego miejsca na nodze.

* * *

Wśród wielu klientów, którzy się do mnie zgłaszali po poradę, utkwiła mi w pamięci pewna młoda kierowniczka młodzieżowego ruchu, podobna może nieco do Dziewicy Orleańskiej, szczupła, niezwykle prosto trzymająca się dziewczyna, która w towarzystwie pewnego dziennikarza zjawiła się u mnie. — Miała ona na sobie mundur organizacji, w którym było jej bardzo do twarzy, wygląd jej znamionował zdrowie i niktby nie przypuścił, że osoba ta była kiedykolwiek chora.

Gdy jednak spojrzałem na jej pismo, wiedziałem, jak się przedstawia sprawa jej zdrowia. Nawet treść tego co napisała była ciekawa: brzmiała ona następująco: „L'homme est un apprenti la douleur est son maitre"

— Energiczna i napozór pełna zdrowia postać pani nie może jednak oszukać mnie co do ciężkich przejść, jakie ma pani za sobą. Widzę panią w myśli z kompresem na głowie. Miewa pani bardzo silne bóle oczu i głowy, które trwają całymi latami. Powodem tych bólów było cierpienie żołądka i z chwilą gdy ono zostało wyleczone, ustały też bóle — rzekłem do klientki.

Zdziwienie jej było oczywiście duże: było tem silniejsze, że lekarze tylko przypadkowo wpadli na pomysł, aby zająć się jej żołądkiem, który był właściwym powodem bólów, poprzednio zaś leczono jej głowę i oczy, oczywiście bez rezultatu.

Zainteresowawszy się szczerze tem zagadnieniem i wogóle psychografologją, skreśliła na kartce następujące słowo: „Ma pan rację twierdząc, że poddałam się dwa lata temu leczeniu oczu, myśląc, że w ten sposób pozbędę się bólów głowy. Później dopiero okazało się, że moje bóle pochodzą z żołądka. Dopiero właściwa djeta zdołała usunąć ciągłe bóle głowy. To wszystko powiedział mi dziś dnia 17 kwietnia p. Schermann z mojego pisma. C.".

Dopiero po załatwieniu tej osobistej sprawy wyjawiła mi właściwy cel swej wizyty: chodziło jej o to, abym wziął udział w pracy doradczej dla młodzieży w zakresie wyboru zawodu. Zgodziłem się na tę propozycję, gdyż wiedziałem, jak dalece psychografologja może w tej dziedzinie odegrać poważną rolę.

* * *

Nieraz „anonsują" się fizyczne cierpienia w piśmie na dłuższy czas przed spostrzeżeniem ich przez przyszłego chorego. Pewnego razu pokazuje mi wiedeński architekt Adolf Loos pismo jednego z swych kolegów p. V. K., który wkrótce potem miał mieć do czynienia z chorobą oczu. Choć Loos powtórzył p. V. K. moją djagnozę wskazującą na chorobę oczną, słowa moje zostały zapomniane. W cztery lata później zwraca się p. V. K. do mnie z prośbą o radę w innej zresztą zupełnie sprawie, mającej związek z jednym z jego przyjaciół, który jakkolwiek do niego bardzo przywiązany zdawał się w ostatnich czasach od niego oddalać. P. V. K. był więc ciekaw czy oddalenie to spowodowane jest tego własnem postępowaniem czy też jakąś inną uboczną okolicznością.

Gdy poprosiłem go jak zwykle o skreślenie kilku wierszy, znalazłem w nich, ku mojemu niemałemu zdziwieniu i zadowoleniu, następujące słowa:

„Przepowiednia pańska, że będę chorował na oczy sprawdziła się".

Opierając się na tem, że kilka lat temu przepowiedziałem mu chorobę, o której w owym czasie zupełnie nie miał pojęcia, żywił tym razem również nadzieję, że pomogę mu w tym konflikcie jaki zaistniał między nim a jego przyjacielem.

PISMO ODSŁANIA PRZYSZŁE KATASTROFY

Właściciel hotelu na Coney-Island, koło Nowego Yorku mister Fischer był, jak wielu zresztą innych ludzi, upartym przeciwnikiem psychografologji, i jak to się nieraz zdarza, musiał się wkońcu przekonać o bezpodstawności swej animozji. Gdy byłem w Ameryce znajomy mój noszący przypadkiem to samo co właściciel hotelu nazwisko dr. Jerzy Fischer, opowiadał mu o moich eksperymentach, o czem zresztą tem więcej mógł powiedzieć, że był delegatem kongresu w czasie kiedy pisma pełne były artykułów o moich doświadczeniach. Wygłaszałem wtedy liczne odczyty i dokonywałem próbnych djagnoz wobec najwybitniejszych uczonych: również w laboratorjum prof. dr. Johna Gestera ordynatora jednego z szpitali nowojorskich i znanego neurologa, dokonałem licznych doświadczeń. (C. d. n.)

OD TEGO SIĘ ZACZĘŁO



Fatalne strzały do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki księżnej Hohenberg oddał serbski spiskowiec Gawriło Princip w Sarajewie stały się pośrednim powodem wybuchu wojny światowej. Na zdjęciu para arcyksiążęca opuszcza ratusz.

Gdy śledzimy z niesłabnącą uwagą perypetje polityki europejskiej, gdy obserwujemy konwulsje jakie nawiedzają różne kraje i utrudniają im utrzymanie pokoju, gdy w końcu wojna zdaje się ciągle wisieć na włosku, nieraz zapewne zastanawiamy się jakie właściwie były i są powody tych katastrof dziejowych, zwanych wojnami, i jakie można by na nie znaleźć środki zaradcze?

Powody wojen są tak różnorodne jak różnorodny jest charakter narodów, jak w końcu różną jest pogoda w róznych miesiącach roku. Obecnie, w ostatnich czasach utarły się wyrażenia „wojna prestiżowa“, wojna o Lebensraum“, wojną prewencyjna. I zdaje się nam, że są to „wynalazki“ naszych czasów! Bynajmniej! Zajrzymy do pierwszego lepszego podręcznika historji, a stwierdzimy, niestety, że wojny mają już starą, dawno ustaloną tradycję.



Z początku nic nieznaczące ale ciągle zaogniające się graniczne utarczki między strażą włoską a abisyńską w Ual-Ual wkrótce nabrały znaczenia politycznego konfliktu z którego skorzystały Włochy, by rozpocząć wojnę abisyńską. Na zdjęciu żołnierze abisyńscy w marszu.

Od czasu kiedy między dwoma państwami greckiemi, wybuchła wojna w starożytności, gdyż jedno podejrzewało drugie iż obaliło święte hermy, wojny wybuchały pod najrozmaitszemi pretekstami i z najrozmaitszych powodów. Wojny religijne, t. j. wojna 30-letnia i wojny hugenockie, w XVI i XVII wieku. wojny domowe, których ostatnią „próbkę“ mieliśmy w Hiszpanji, wojny dynastyczne prowadzone przez państwa nieraz po kilkaset lat, wojny prowadzone dla prestiżu lub dla chwały, oto kilka gatunków tego smutnego zjawiska.

Oczywiście, że żadna wojna nie wybuchła z jednego powodu: było ich zawsze więcej, nieraz bardzo wiele, jeden zaś stawał się ową zapałką, która wysadzała w powietrze beczkę z prochem. Nie należy np. sądzić, że tylko zabójstwo arc. Franciszka Ferdynanda w Serajewie, w r. 1914 stało się właściwym powodem



Wojna niemiecko-duńska w r. 1864 jakkolwiek przeprowadzona zwycięsko stała się powodem nowej wojny między Austrją a Prusami, które zdobywszy wspólnemi siłami księstwa Szlezwiku i Holsztynu nie mogły się pogodzić co do jego podziału. Na zdjęciu fortyfikacje duńskie w Düppel, których zdobycie położyło kres wojnie.

wojny światowej: morderstwo to było tylko ową przysłowiową zapałką. Wojna Austrji miała być ekspedycją karną do Serbji lub w najlepszym razie wojną prestiżową, stała się jednak początkiem szeregu wojen wszystkich przeciwko wszystkim.

Prewencyjną wojną miała być walka roku 1870 gdy na tron hiszpański miał wstąpić książe z domu Hohenzollernów, z linji katolickiej, z tej samej, z której wyszedł pierwszy władca Rumunji król Karol I. Francja nie mogła dopuścić do tego, aby była otoczona z dwóch stron przez wpływy niemieckie i wypowiedziała wojnę. Niestety, mimo słynnego oświadczenia ministra wojny, że Francuzi są do wojny „archiprêts“ Francja przegrała wojnę a cesarz Napoleon III pod Sedanem oddał swą szpadę Bismarckowi. *Dokończenie na str. 31-ej.*



Bombardowanie Algeru, które widzimy na naszej ilustracji według współczesnego sztychu, było punktem końcowym wojny spowodowanej słynnem uderzeniem wachlarzem francuskiego konsula Piotra Deval przez deja Algeru, i doprowadziło do zdobycia nowej kolonji dla Francji.

ANDRÉ BIRABEAU

„Bridge"

NOWELA

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO HELENY HELLERÓWNY

Jan Dailleru usiadł w fotelu w przedpokoju ministerstwa. Wyciągnąwszy nogi spostrzegł, iż miał zabłocone buciki. Spodnie były wprawdzie dobrze zaprasowane, lecz widać było na nich tu i ówdzie grudki błota. Zupełnie niepotrzebne ozdoby, świadczące o braku samochodu...

Jan westchnął. Marzył o powodzeniu, majątku, a tymczasem przyszedł do ministerstwa nawet nie jako petent. Nie spodziewał się niczego, nie miał wogóle widoków na uzyskanie czegoś. Wstąpił po kolegę, który pracował w ministerstwie; mieli pójść razem na śniadanie. Kolega, wiedząc doskonale, że do ministerstwa nie jest się nigdy przydzielonym na długo, a tem samem, chcąc olśnić znajomych swą krótkotrwałą „ważnością", trzeba się pospieszyć, powiedział mu: „Przyjdź po mnie do budy w południe".

Mimo ironicznej nieco zazdrości Jan był olśniony. Uważał jednak, że byłoby to z jego strony głupio zrażać sobie kogoś, kto zdołał się dostać do ministerstwa, mając 25 lat. Taki spryciarz może się przydać...

Drzwi gabinetu ministra otworzyły się; najpierw dał się słyszeć donośny i śpiewny głos, który mówił: „Ależ to ja dziękuję łaskawej pani, iż raczyła mnie pani odwiedzić...", poczem w drzwiach ukazała się jakaś pani, której włosy były trochę zanadto młodociane, jak włosy wszystkich pań trochę za starych, biust o wiele za duży, jak na jedną osobę, nogi krótkie, a mina wyniosła.

W ręku trzymała laskę, którą bawiła się jakby to był... No powiedzmy: monokl.

— Zatem mogę na pana liczyć? — rzekła.

— Ależ pani wie, że prośba pani jest dla mnie rozkazem — odparł minister.

Ucałował rękę owej pani, siląc się na swobodę, co było nieco śmieszne ze względu na jego wygląd pasterza owiec (odziedziczony nawiasem mówiąc po przodkach). Ale czy minister nie jest poniekąd pasterzem owiec?

Dama przeszła na swych krótkich nogach dumnie przez przedpokój.

— Kto to? — zapytał woźnego Jan.

— Pani Weill — Geoffroy. Och, to bardzo wpływowa osoba! Odkąd tu jestem wielu ministrów urzędowało w tym gabinecie, lecz ona zawsze wchodzi tu jak do swego domu.

Jan zmarszczył brwi. Pani Weill-Geoffroy... zdawało mu się, że słyszał już kiedyś to nazwisko... miał nawet wrażenie, że wymawiał je jakiś znajomy głos... Ale czyj?

Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Był to kolega. Udali się na śniadanie. Kolega Jana promieniał. W niedzielę reprezentował ministra na odsłonięciu pomnika; wprawdzie odbywało się to w małej dziurze na prowincji, lecz włożył żakiet, cylinder, orkiestra grała „Marsyljankę" i odczytał mowę, której nawet sam nie napisał — zupełnie jakby był ministrem.

— A ty co robisz, mój kochany? — zapytał Janka, gdy mu już opowiedział szczegółowo całe to ważne wydarzenie.

Jan wzruszył ramionami.

— Buduję podmiejską willę... Ale mój klient to nieznośna piła, wtrąca mi się do wszystkiego... Jest to jeden z tych ludzi, którzy pod pretekstem, że to oni będą zamieszkiwać dom obierają odpowiednie miejsca na dzwonki i barwę kafelek w łazience, chcieliby żeby człowiek siedział cały dzień na ich budowie i zaglądał murarzom do zaprawy wapiennej! I co się ma z tego wszystkiego? Zarabia się kilka tysięcy. Istna nędza. Marzę o tym, ażeby wybudować coś wielkiego, mieć wolną rękę no i... zarobić porządnie.

— Widzę, że chciałbyś pracować dla państwa.

— Ach, to byłoby świetnie!

I Jan, zapominając o jedzeniu, zaczął rozwijać swe plany. I nagle gdy mówił o państwie, ministrach, wpływach, zdawało mu się, że słyszy nazwisko pani Weill-Geoffroy i rozpoznał głos, który je wymawiał. Był to głos wuja Anthim'ea.

Tego samego wieczora poszedł do wuja Anthime'a.

* * *

— Oczywiście, że znam panią Weill-Geoffroy! Bawiliśmy się razem jako dzieci, nasi rodzice mieli posiadłości w pobliżu Chaton... Już jako pięcioletnia dziewczynka była despotką i niepodobna jej się było oprzeć... Wyda ci się to może nieprawdopodobnem, ale już w tym wieku rodzice dzięki niej nawiązywali znajomości... Zawsze wszystkich znała... Po wyjściu za Weill'a rozwijała swe zdolności w innej sferze... To, co mi opowiedziałeś o jej wpływie w ministerstwach, wcale mnie nie dziwi... W jej salonie gnieżdżą się zapewne wszystkie Izby...

Wuj Anthime roześmiał się ze swego „dowcipu". Drżący z niecierpliwości Jan skorzystał z tego, ażeby go zapytać czy nie zechciałby polecić go tej pani.

— Ależ oczywiście, mój kochany — zapewnił wujaszek. — I jestem pewny, że przyjmie ona gorąco mego siostrzeńca. Z Eweliną łączą mnie nadal serdeczne stosunki. Przez ten mój przeklęty reumatyzm nie będę mógł pójść z tobą do niej, ale zadzwonię jej kiedy zechcesz... może jutro? I napewno przyśle ci zaraz zaproszenie na swe najbliższe przyjęcie.

* * *

Jan nie ukrywał swej radości.

— Doskonale, że to ci przyszło na myśl — mówił wuj Anthime — Ewelina zawsze lubi popierać młodych ludzi. Możesz zrobić szczęście! Dopomogła różnym muzykom, malarzom, czemu nie miałaby dopomóc młodemu architekcie...

— Siostrzeńcowi swego starego przyjaciela Anthime'a...

— No pewnie! Idzie tylko o to, żebyś jej się spodobał... Jeszcze jedna ważna rzecz: czy umiesz grać w bridge'a?

— Nie.

— To niedobrze, bardzo niedobrze... U Eweliny grywa się w bridge'a... właściwie nic innego tam się nie robi. Dla niej młody człowiek, który nie gra w bridge'a, nie jest istotą ludzką, jest wogóle zerem...

— W takim razie, kochany wujaszku, nie pozostaje mi nic innego jak zabrać się do nauki.

* * *

Jan odszedł pełen jaknajlepszych nadziei. Umówiono się, że wuj Anthime zadzwoni do pani Weill-Geoffrey dopiero nieco później, gdy Jan będzie się czuł już na siłach zasiąść przy zielonym stoliku. Nietrudno się domyśleć, że nazajutrz od samego rana Jan zaczął szukać profesora do bridge'a.

Znalazł i to doskonałego. Ale cóż się okazało? Jan nie posiadał najmniejszych zdolności do kart!

Nie miał pojęcia o tej wadzie, gdyż dotychczas nigdy w życiu kartami się nie interesował. Słuchał z zapałem objaśnień swego profesora bridge'a, starał się jak mógł i — nic nie rozumiał! Nawet takie najprostsze słowa jak plafon, wyjście, licytacja, honory, lewy, kontry, czy szlemy były dlań obce dzikie i nie mieściły mu się w głowie. Wyjaśnienia wchodziły mu jednym uchem, wychodziły drugim, pozostawiając znikomy ślad. Przypominał sobie kolegę z gimnazjum, bardzo pilnego chłopca, który nie miał zdolności do matematyki i pisząc zadanie płakał:

— To nie moja wina — jęczał. — Nie mogę kapować!

On także nie mógł kapować, był niedołęgą w kartach. Rzucał na chybił trafił pika, karo, siódemkę, waleta... „Ależ niechże pan się zastanowi! krzyczał jego profesor. Jan nie był w stanie.

Mimo najlepszych chęci i wysiłków uważał za głupotę siedzenie przy stoliku z kawałkami tektury w ręku. Musiał się przezwyciężać, ażeby nie rzucić kart w twarz swego partnera. Ale uparł się. To było konieczne, od tego zależała cała jego przyszłość. Musiał dostać się do pani Weill-Geoffroy, musiał pozyskać jej sympatję, musiał — u licha — nauczyć się grać w bridge'a!

* * *

Wreszcie Jan po upływie kilku miesięcy, w ciągu których przechodził istne męki, uznał że może zasiąść do gry.

— Możesz zadzwonić do twojej Eweliny — oświadczył wujowi Anthime'owi.

W dwa dni później — zgodnie z przepowiednią wuja — otrzymał od pani Weill-Geoffroy bilecik, z dopiskiem w prawym rogu: „Będzie bridge".

W salonach pani Weill-Geoffroy były poustawiane małe stoliki jak w sali jadalnej jakiegoś dużego hotelu, w którym kelnerzy zapomnieliby przynieść potrawy cierpliwym gościom. Panowała tam wyjątkowa cisza.

Pani Weill-Geoffroy przyjęła Jana bardzo życzliwie. Widać było, że zarówno on jak jego ubiór znalazły łaskę w jej oczach.

— Oczywiście gra pan w bridge'a?

— Naturalnie — odpowiedział Jan.

— Proszę iść ze mną. Właśnie czekaliśmy na czwartego.

Przedstawiła mu szybko dwóch panów i jakąś młodą kobietę. Nazwiska są takie mało ważne! Mogła równie dobrze powiedzieć: „Partnerzy pana". Usiedli wszyscy czworo z minami tak poważnemi, jakby byli sekuntantami podczas pojedynku. Lokaj postawił obok Jana „zabawny" kieliszek, na którym był pik, kier, trefl i karo.

I gra rozpoczęła się.

Jan poczuł, że oblewa się potem. To było straszne: z wszystkich nauk swego profesora nie pamiętał nic, absolutnie nic! Patrzył na swe karty jak ogłupiały. Rzucał je na chybił trafił.

Nikt tego zresztą nie zauważył. Zbierał jakimś cudem lewy, myśląc z przerażeniem: „Za chwilę bomba wybuchnie, zapadnę się w ziemię". Czuł już zdziwiony wzrok pani Weill-Geoffroy, która siedziała naprzeciw niego.

Po skończonej partji wstał:

— Bardzo przepraszam — szepnął. — Muszę niestety odejść... nie czuję się dobrze...

Pani Ewelina wstała również. W oczach jej czaiła się pogardliwa ironja:

— Zdaje się, że bridge nie bardzo pana interesuje?

Skończyło się. Nie będzie już dla niej jednym z tych chłopców, których się chętnie zaprasza, pożyteczną, miłą istotą: partnerem. Nie zechce mu dopomóc, nie dostanie się już więcej nigdy do tego salonu. Wszystko przepadło... Ach!...

Jak tonący usiłował instynktownie się ratować. Trzeba coś powiedzieć, wszystko jedno co..

— Bridge, proszę pani? — rzekł. — Ależ jestem namiętnym graczem. Dziś grałem jednak jak nieprzytomny, prawda? Nie byłem w stanie skupić uwagi, nie rozróżniałem nawet kart... Jestem bardzo wrażliwy, ale je-

Dokończenie na str. 26-ej.

RUSAŁKI
ZA ZASŁONĄ Z MORSKIEJ PIANY.



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

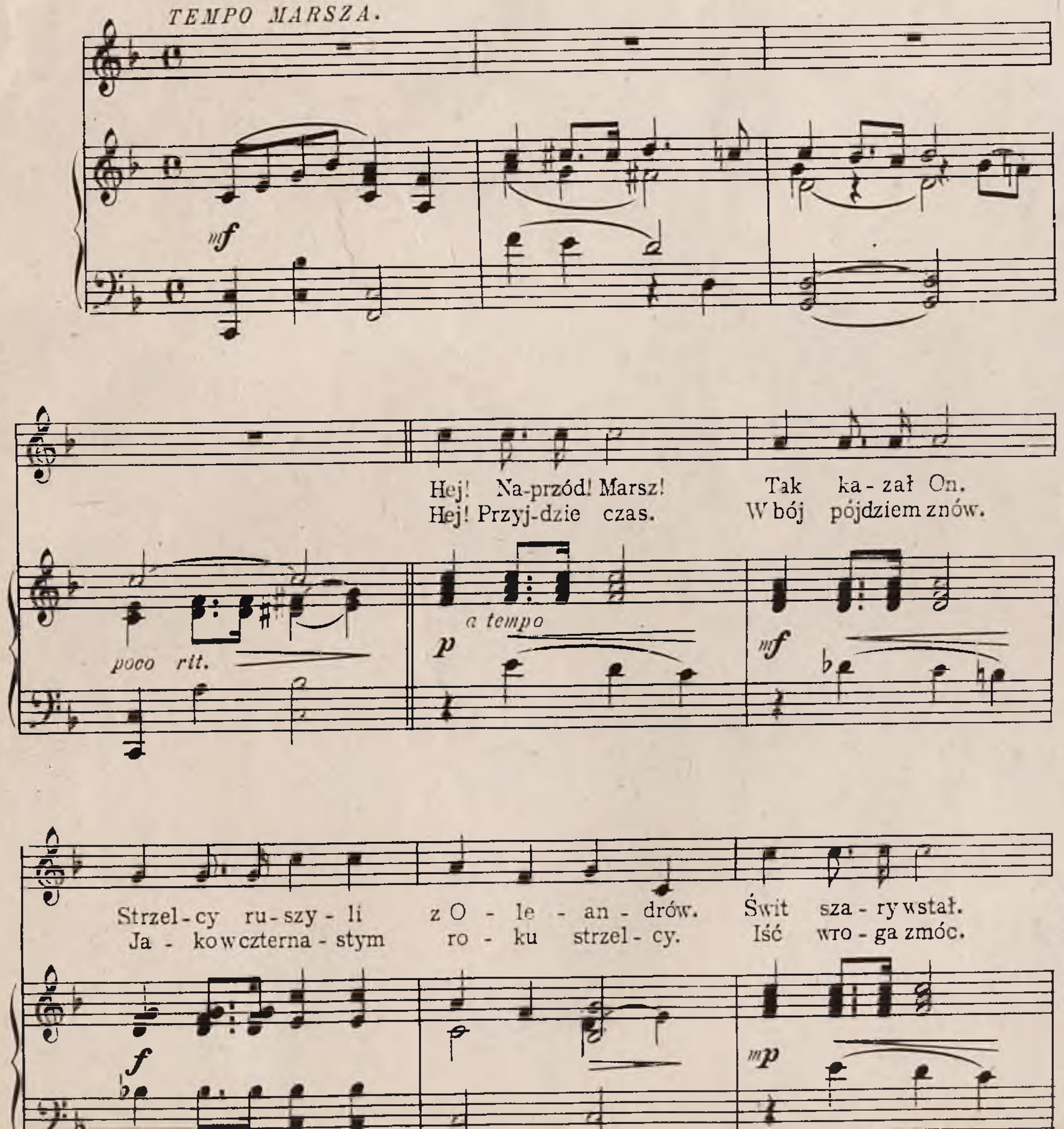
LEGJONOM POLSKIM

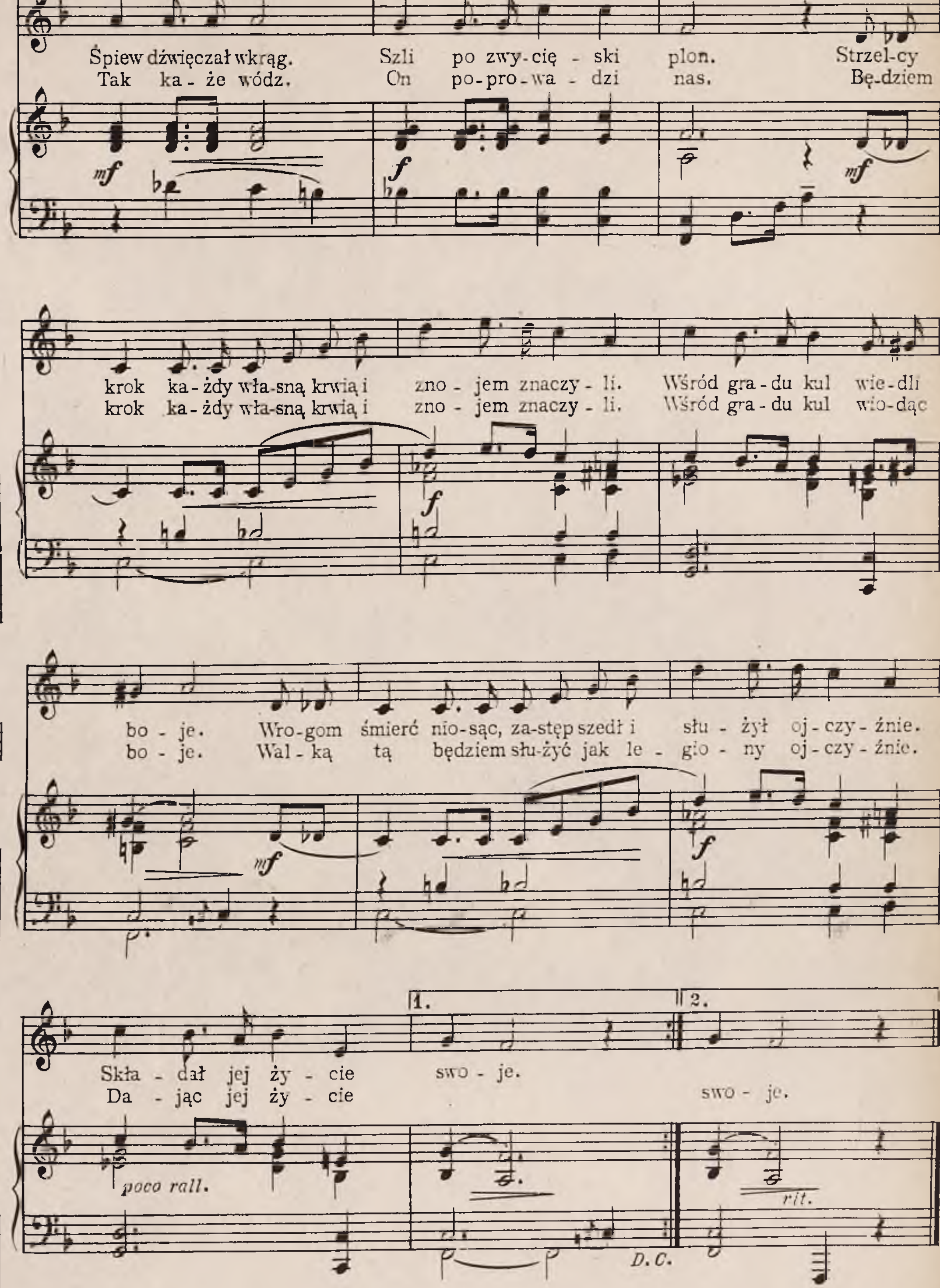
Jak przed laty...

PIEŚŃ

SŁOWA:
WIESŁAW GORECKI

MUZYKA:
KAZIMIERZ MEYERHOLD





ZNACZKI POCZTY LEGJONOWEJ 1914-1918

Pierwszym dokumentem budzenia się Rzeczypospolitej do nowego niepodległego życia są w filatelistyce dwa znaczki, wydane przez Nacz. Komitet Narodowy.

Już w pierwszym dniu, gdy oddziały strzeleckie starły się w walce z zaborcą rosyjskim, sprawowała swój urząd ich poczta polowa, która wkrótce otrzymała oczywiście nazwę „Legionowej". Wiadomo wszystkim że wszelka korespondencja, wysyłana przez żołnierzy przebywających na froncie, nie nosi ani stempla miejscowości, gdzie ich oddziały przebywają, tylko każda formacja ma numer kolejny swej „ekspozytury" pocztowej, do której i z której wiadomości są przesyłane. Miejsce, gdzie w danym czasie pracuje pocztowa placówka polowa, jest znane tylko większym zbiornicom pocztowym daleko poza frontem, które dopiero mogą listy zaopatrzyć w swe pieczęcie.

Sami żołnierze nie potrzebują kupować znaczków, dlatego też wszelkie t. zw. znaczki okupacyjne były przeznaczone dla ludności cywilnej. Podobnie i N. K. N. polecił wydrukować w Krakowie owe dwa znaczki w kolorze czerwonym, co wykonano w sierpniu 1914 w drukarni uniwersyteckiej. W stanie nieużywanym są one dość pospolite; obecna cena wynosi około 3—4 złotych za sztukę, co jednak wydaje się dosyć wygórowaną kwotą. Natomiast stemplowane, zwłaszcza na listach, zaliczają się do znacznie większych rzadkości. Jeszcze mniej spotyka się w handlu egzemplarz za 10 hal. przepołowiony i użyty — zamiast 5-halerzówki.

Chociaż po upływie kilku miesięcy, t. j. w styczniu 1915 r., Legjony Polskie mogły wysyłać swą korespondencję tylko zapomocą przydzielonych im austrjackich poczt polowych, to jednak nie pozwolono sobie w zupełności odebrać tego przywileju, mówiącego przecież o pewnej niezależności.

Z narażeniem się na niebezpieczeństwo ze strony władz austrjackich, a nawet niemieckich, przesyłano przez tajnych posłańców wiadomości czy to dla wojskowych, czy też prywatnych osób. Rzecz zupełnie zrozumiała, że w tych warunkach nie można było marzyć o posiadaniu własnych oryginalnych znaczków. Niemniej jednak istniały w całkiem znikomej ilości w 1915 r. arkusiki z polami, w których prymitywnym sposobem wydrukowano godło orła polskiego i napis: „Na skarb L. P." Trzeba je było samemu rozcinać i gumować, na miano znaczków więc właściwie nie zasługują.

Całkiem inaczej przedstawia się sprawa z pocztówkami polowemi, których istnieje nadzwyczajna rozmaitość i trzy sztuki, które reprodukujemy ze zbiorów WP. Fr. Borowca, są tylko wyjątkami z długiej serji. — Możnaby ułożyć je w długim szeregu, a miejscowości oznaczane na stemplach świadczyłyby o kolejach losów i miejscach, gdzie walczyły pierwsze wojska pod biało-czerwonemi sztandarami ze znakiem orła zrywającego się do samodzielnego lotu. — Dzisiaj, dla wspomnienia tych czasów, epokowy dzień 6-go sierpnia 1914 roku upamiętniony będzie nowym pięknym znaczkiem, na którym zobaczymy w alegorji jak z garstki tej, wyruszającej pod rozkazami Wielkiego Marszałka na pole chwały — powstała jedna z największych armji w Europie. Strzeże ona dziś dobrze naszych słusznie wytyczonych granic i stanowi chlubę naszego narodu.

* * *

Dalszy ciąg wskazówek o układaniu znaczków w albumach ukaże się w nast. numerze.

W. H.



Na prawo: Znaczki pamiątkowe oraz naklejka legjonowa, odnoszące się do stworzenia pierwszych kadr polskiej armji: u góry znaczek wydany w 20-lecie czynu legjonowego, w drugim rzędzie znaczki wydane przez N. K. N., poniżej nalepka sprzedawana na cele humanitarne Legjonów.



Poniżej: Kartka polowa armji austrjackiej z pieczątką Pierwszej Brygady Legjonów polskich.



Karty polowe Legjonów polskich z charakterystycznym orzełkiem.

Człowiek dzisiejszy jest zblazowany i bardzo wymagający pod względem rozrywek towarzyskich. Dawniejsza „konwersacja“ wyszła niemal zupełnie z mody, względnie przestała być dostateczną atrakcją. Ludzie dzisiejsi nie lubią się trudzić, dlatego żądają od zebrań towarzyskich takich elementów, które łatwo i bez wysiłku wytwarzają pewien nastrój, umożliwiający dobrą i beztroską zabawę. Nikt dziś nie lubi staromodnych „five“‘ów, które polegały na przegryzaniu ptifurów i popijaniu herbaty wśród lekkiego, sanolonowego „smalltalk“‘u. Zamieniało się z każdym po kilka zdań i zdawkowych uprzejmości, omawiało ostatnią premjerę w teatrze i ostatni skandal towarzyski, rozdawało parę uśmiechów i komplementów i szło się na następny „five o’clock“, by zacząć to wszystko od nowa.

Obecnie popołudniowe zebrania towarzyskie muszą mieć zgóry określony i zdecydowany charakter. Albo to będzie „bridge-party“, albo „cocktail-party“, na kktóre najodpowiedniejszą porą jest czas między 6-tą a 8-mą wieczór. Jest to pora apéritifu, a wypicie paru dobrych cocktaili stanowi doskonały wstęp do zabawy wieczornej, a jednocześnie zaostrza apetyt.

U nas w Polsce cocktaile właściwie się nie przyjęły, może dlatego, że Polak nie lubi takiego popijania „na niby“; Jest on ekstremistą: albo abstynencja, albo porządne, solidne picie, ale wtedy czyż nie grzech psuć uczciwą wódkę czy koniak jakiemiś sokami z owoców, plasterkami cytryny, jajkami czy wodą sodową?

Nie jest to słuszne. Dobrze skombinowane cocktaile są smaczne, pikantne, a co najważniejsze nie działają tak brutalnie, jak wódka. Pije się je zarówno dla humoru, jak dla smaku, a rozmaitość tych smaków jest jedną atrakcją więcej.

Zagranicą cocktail ma swoją ustaloną pozycję i markę. W eleganckich miejscowościach nadmorskich czy letniskowych, na tarasie wielkich hoteli i modnych kawiarni godziny między 6 a 8, noszą miano „l’heure du cocktail“. Po kąpieli, spacerach i sportach schodzą się panie i panowie na pogawędkę przy wysokim kieliszku, oszronionym apetycznie w lodzie, ciągnąc przez słomkę piękny, tęczowy płyn, na dnie którego pływa, jak rybka w akwarjum rumiana wiśnia lub złoty kawałek ananasa. Przy tym ładnym i smacznym trunku rozmowa toczy się żywiej, niż przy zwykłej herbatce, oczy kobiet błyszczą jaśniej, usta uśmiechają się zalotniej. Z różnorodnych kielichów emanuje lekki, czarodziejski fluid — potęgujący dobre samopoczucie i nastrój.

Stroje widuje się przytem najróżniejsze, zależnie od miejscowości i warunków: nad morze będą to jeszcze wciąż barwne i lekkie sukienki plażowe, eleganckie piżamy, a nawet — shorty z barwną bluzeczką, w szykownych miejscowościach kuracyjnych, jak Vichy, Krynica czy Evian popołudniowe lekkie suknie z strojnemi, dużemi kapeluszami i barwnemi parasolkami, w górach spodnie z kolorową bluzką czy zgrabnym żakiecikiem lub bolerem, na wsi płócienne lub shantungowe jasne sukienki o charakterze wybitnie letnim, ogrodowym.



Na prawo: Szykowny letni komplecik płócienny z bolerkiem — przybrania z białej piki. Fot. MUNDI — Amsterdam.

Poniżej: Coctail ułatwia pięknym paniom wymianę najnowszych ploteczek...



COCKTAIL-PARTY



Na lewo: Gdy się ma własną posiadłość nad morzem, wówczas nawet podczas cocktail-party można przyjąć gości w stroju kąpielowym...

A teraz parę dobrych rad dla gospodyń, urządzających u siebie na wsi czy na letnisku „cocktail-party“.

Lodu należy używać w formie sporych kawałków: rozbity zbyt drobno bardzo szybko się topi. Szron na kieliszkach uzyskujemy w ten sposób, że obracamy jego brzeg w drobno tłuczonym lodzie i zaraz nalewamy gotowy płyn.

Przygotowując cocktaile pamiętajmy o gustach naszych gości: dla panów miejmy w zapasie parę mocnych, wytrawnych i niesłodzonych cocktaili, dla pań mieszaniny łagodniejsze w smku, dla tych nieszczęśników, którym alkohol jest wzbroniony, przygotoujmy parę niemniej smacznych bezalkoholowych cocktaili na pocieszenie, aby kalectwa swego nie odczuli zbyt boleśnie.

Do przegryzania trzeba przygotować trochę lekkich, apetycznych kanapek o pikantnym smaku, kruche słone paluszki, smażone plasterki kartofli i so-

lone migdałki. Dobre są naprzykład kanapki z plasterkami sera Chester, posypanego krajanemi w paseczki migdałami słodkiemi, lub malutkie miseczki z wydrążonego czarnego chleba, nałożone drobniutko posiekanemi twardemi jajkami pomieszanemi z miazgą pomidorową i posypanemi estragonem.

Dla niedoświadczonych w zaczarowanem królestwie cocktaili podamy parę doskonałych recept:

Cocktaile wytrawne: 1) 3/4 kieliszka ginu, 1/4 soku ananasowego i plasterek cytryny lub pomarańczy. Nazywa się „Martini".

2) „White lady" to mieszanina 1/2 ginu, 1/4 soku z pomarańczy i 1/4 likieru Cointreau.

Bardzo wytrawne: 1) 1/3 ginu, 1/3 wermutu Cinzano i 1/3 soku z cytryny, to cocktail zwany „Trinité".

Z łagodniejszych cocktaili dla dam, możemy polecić:

1) „Bronx", złożony z pół kieliska ginu, 1/4 soku z cytryny i 1/4 z ananasa.

2) „Melon" to kombinacja ginu 4/8 i 3/8 maraskino i 1/8 soku z cytryny.

3) „André" to ćwiartka ginu, pół kieliszka soku z ananasa, ćwierć Cinzano i parę kropel grenadiny.

Z cocktaili bezalkoholowych dobre są:

1) „Pussy-foot cocktail", złożony z soku cytrynowego słodzonego, soku z świeżej pomarańczy i toniku Kola w równych częściach.

2) „Paradis", to sok, wyciśnięty z świeżych pomidorów z dodatkiem kilku kropel angielskiego sosu „Worcester" lub „Kabul", odrobiny pieprzu i soli, oraz plasterka cytryny.

Każda gospodyni, która raz zasmakuje w fabrykowaniu cocktaili, potrafi z łatwością komponować nowe kombinacje i przejdzie wnet na cocktaile własnego pomysłu, szczycąc się niemi, jako „specjalités de la maison". Nie jest to wcale trudne, tylko trzeba mieć śmiałość i — próbować tak długo, aż się uda.

Lady Like.



la prawo: Elegancka popołudniowa suk- ia z gładkiego czarnego tiulu o spód- iczce silnie od bioder przez przymarszczenie poszerzonej.



Plisowana spódniczka i bluzka zapięta na dwa rzędy oryginalnych guzików w kształcie gwiazd, to jeden z udanych przebojów tegorocznej mody letniej.



Na lewo: Nad morzem zasiada się do herbaty czy cocktail'u w strojach plażowych. Fot. Imre v. Santho.



Rysunki: EWA LEO

Dokończenie ze str. 20-tej.

szcze nigdy w życiu nie doznałem tak silnego wrażenia...

— Ależ z jakiego powodu?

— Jeśli mam być szczery to... to ta młoda kobieta, która siedziała przy mnie i której nie znam... (I na którą nawet nie spojrzał...).

Pani Weill-Geofroy wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się:

— Och, „miłość od pierwszego wejrzenia"? Doprawdy? Nikola tak się panu spodobała? Ależ to ślicznie... Byłaby z was ładna para...

W trzy miesiące później Jan był już po ślubie.

Gdy się raz nieostrożnie skłania, brnie się z konieczności dalej aż człowiek wpada we własne sidła.

Zresztą Jan nie był wcale przeciwny małżeństwu. Wprawdzie Nikola (młoda wdowa) była mu obojętna, ale była ładna i zamożna. No a najważniejsze, że dzięki temu wszystko ułożyło się tak pomyślnie!

Pani Weill-Geoffroy zachwycona miłością, która zrodziła się tak nagle przy stoliku bridge'owym, zapraszała „zakochanego" Jana. Sama mówiła z uśmiechem: „Przypuszczam, że jeszcze ciągle nie potrafi pan grać z należytą uwagą? A on odpowiadał również z uśmiechem: „Oczywiście, że nie!" Pozwalano mu usiąść z boku na kanapce; pił porter, lub oranżadę, palił papierosy i podczas gdy ogólnie przypuszczano, iż rozkoszuje się widokiem Nikoli — rozmyślał o przyszłych zamówieniach dla rządu. Pomiędzy jednym a drugim robrem Nikola uśmiechała się do niego czarująco, a pani Weill-Geoffroy porozumiewawczo. Odpowiadał uśmiechem pełnym zachwytu. No i po trzech miesiącach był już żonaty.

Nie zwrócił jednak uwagi na to, że poślubił kobietę, która grała w bridge'a.

Uświadomił to sobie nazajutrz po ślubie. Przyjechali do Wenecji. Gdy o ósmej rano zeszli na dół do sali restauracyjnej w swym hotelu, Nikola zawołała ze zdziwieniem: „Popatrz, Pourcieux'owie i Guy Salernes!" Byli to stali bywalcy salonów pani Weill-Geoffroy. Po obiedzie Pourcieux'owie i Guy Salernes usiedli oczywiście przy stoliku, Nikola usiadła oczywiście z nimi i zaczęli grać w bridge'a. Jan, zapaliwszy papierosa, udał się sam na Riva degli Schlavoni.

Nie sprawiało mu to zresztą przykrości. Nie kochał Nikoli, a Wenecja nawet w poświacie księżyca, posiada urok dla architekty. Obejrzał Ponte della Paglia, Ponte del Vina, Plac św. Marka, nie przejmując się tem, że ożeniwszy się onegdaj jest samotny. I nawet się nie odezwał, gdy Nikola powiedziała mu nieco później: „Mieliśmy pojechać, kochanie, do Bolonji i Florencji, lecz Pourcieuxowie i Guy Salernes wybierają się do Abacji, Rimini, Viareggio i Rapallo... Tobie wszystko jedno, prawda? To też Włochy... Trzeba wykorzystać to, iż spotkało się tak szczęśliwie znajomych, którzy po-

Dokończenie na str. 28-ej

SALON PIĘKNOŚCI „ASA"

O FRYZURZE

SŁÓW KILKORO



Powyżej: Oto interesujący sposób zaczesania włosów w trzy pasma, przechodzące w węzeł z kilku loków. Przednia część włosów zgrupowana w lokach nad czołem (Pages).



Powyżej: Miękkie, fantazyjne pukle dookoła głowy zasłaniające uszy i kark.

Poniżej: Fryzura wieczorowa, w której włosy nad czołem odczesane są wysoko i zakończone drobnemi loczkami (Madame Coutarel).



Poniżej: Pukle włosów ułożone od ucha wokół czoła z płaskim węzłem z tyłu głowy (Villamor).



Poniżej: Fryzura z oddzielonych nad czołem loków i ze swobodnym wałeczkiem z reszty włosów (Pierre).



Nie upłynął jeszcze rok od czasu, kiedy fryzura utrzymująca się długo przy krótkich włosach, postawiła nas przed koniecznością zapuszczania ich, aby uczynić możliwem odczesanie wszystkich włosów od karku i uszu ku szczytowi głowy, gdzie ułożyły się misterne loczki. Fryzura była piękna i nawet stylowa, à la rok 1900, ale nie była uniwersalną. Nie można jej było zaproponować wszystkim pięknym paniom, bo stawiała wymagania bardzo wielkie wobec linji karku i głowy, jak niemniej rysunku uszu.

Kobiety przypuściły szturm do fryzjerów, zarówno w naszym małym światku, jak i w wielkich metropoljach mody. — Protest przeciwko fryzurze z loków na szczycie głowy był tak powszechny, że już w parę miesięcy później ukazała się fryzura djametralnie różna: „à la dauphin".

Pełnia lata ukazała niepraktyczność tej pięknej zresztą fryzury. Na letnisku, nad morzem, w górach, czy gdziekolwiek bądź, potrzebna jest duża doza swobody. Jakże pływać czy nawet tylko kąpać się z misternemi puklami włosów, opadającemi na kark, spiętemi klamrą czy wstążką?

Będąc latem tego roku kilka tygodni w Anglji, miałem sposobność zauważenia zarówno w Londynie jak w innych miastach, oraz na nadmorskich plażach, czy w letniskach nad jeziorami szkockiemi, jak Angielki rozprawiły się bardzo radykalnie z zagadnieniem fryzury. Poprostu obcięły sobie włosy prawie zupełnie krótko, tak aby ich parucentymetrowa długość wystarczyła na zwinięcie kilku loczków z tyłu głowy. — Boki zostawiały dłuższe i z nich dało się zrobić także po kilka loków bocznych, wyżej czy niżej upiętych. Fryzury na codzień nie siliły się na żadną oryginalność, a tylko do sukni wieczorowej, do teatru, czy na t. zw. „dinner" lub do wytwornej restauracji szuka Angielka pomocy fryzjera do uporządkowania niesfornych za dnia włosów. — Świeży kwiat lub wstążka, umiejętnie wpięta między pukle włosów, czyniły fryzurę bardzo „wieczorową".

Wieczorem fryzura ma obecnie dość dużo odmian. Główną jej zasadą jest oddzielenie włosów linją równoległą do czoła, aby z nich ułożyć loki w girlandę nad czołem, która zależnie od umiejętności fryzjera będzie bardziej lub mniej oryginalna. Resztę włosów zaczesuje się gładko ku tyłowi wykończając je również kilkoma lokami, zcieśnionemi w rodzaj węzła, lub ułożonemi swobodniej, przy dostosowaniu ich do rysunku głowy, ewentualnie ułożeniu w rodzaj swobodnego wałeczka lub dwóch ponad sobą.

Ten rodzaj fryzury albo odgranicza wyraźnie przód i tył fryzury, albo łączy je nieznacznie ponad uszami, które mogą być dowolnie zasłonięte lub nie, stosownie do indywidualnego upodobania.

W ten sposób środek głowy pozostaje poza obrębem zainteresowań, bo pozostawia się go nawet bez jakiejkolwiek ondulacji czy fal. Czasami traktuje się tę część włosów jak trzy gładkie pasma, z których środkowe zaczesane jest prostopadle w dół, a dwa boczne krzyżują się poniżej, by przejść w jakiś kunsztowny węzeł z kilku loków, upiętych nisko na karku.

Jak ukształtuje się fryzura po naszym powrocie z wywczasów letnich do miasta? — Czekamy na to, bo musimy być znowu w pełnym rynsztunku przy codziennej pracy, która nietylko nie wyklucza, ale nawet wymaga od nas estetycznego wykończenia szczegółów ubioru i fryzury.

Niektórzy wróżą powrót do całkiem krótko po męsku obcinanych włosów: nie bawiąc się w proroctwa, można jednak przewidzieć, że przy ogólnej tendencji utrzymania bardzo po kobiecemu wysubtelnionego stylu mody, pozostaniemy przy dłuższych włosach, które dają możność bardzo urozmaiconych fryzur.

Mewa.





Dokończenie ze str. 26-ej.

dróżują po tym samym kraju... W podróży najgorsze jest zawsze to, że człowiek nie jest nigdy pewny czy znajdzie we wszystkich miastach, w których się zatrzyma, odpowiednich partnerów do bridge'a.

* * *

Zrozumiał, że jest mężem „kobiety, która gra w bridge'a". To trochę więcej niż kawaler, trochę mniej niż człowiek żonaty, jednym słowem jakiś „pośredni rodzaj". Człowiek dlatego wie, że jest żonaty, ponieważ żony rzadko bywają nieme. Ale żona „grająca w bridge'a jest niema przez cały czas, gdy trzyma w ręku karty. Z pośród 24 godzin, jakie ma doba, po potrąceniu czasu na biuro i spanie, Jan mógł spędzić ze swą żoną osiem godzin. Ponieważ z tych ośmiu godzin, grała w bridge'a po południu i wieczór, w domu lub u znajomych, conajmniej sześć, mogła być dla Jana żoną tylko przez dwie godziny, podczas posiłków.

No i czy to nie jest prawie że celibat?

Początkowo chodził z nią razem do znajomych, u których grywała. Ale cóż on mógł tam robić nie grając? Wyglądał śmiesznie jak „książę małżonek", albo jak w dawnych czasach „mąż, który nie tańczy".

Skończyło się na tem, że przychodził tylko czasami po nią, jak pobłażliwy ojciec po córeczkę, której pozwolił iść na zabawę. A ona przestała mu opowiadać, rozentuzjazmowana swymi zwycięstwami: „Grałam szešć bez atu z kontrą, a Ewelina rozpoczęła dziewiątką kier...", ponieważ przyznał jej się wreszcie, że nienawidzi kart.

Nie miał nawet czasu opowiadać jej o radościach i troskach, połączonych z jego zawodem.

* * *

I w ten sposób upłynęło kilka lat. Jan uzyskał — dzięki pani Weill Geoffroy — wielkie zamówienia, o których marzył.

Och, nie popierała wcale Jana, dla którego czuła pogardę, lecz męża Nikoli, swej partnerki, świetnej brydżystki...

Pewnego dnia Nikola zachorowała. Musiała leżeć dłuższy czas w łóżku, a potem nie wolno jej było wychodzić z domu. Gdy Jan wracał o szóstej z biura nie mógł się nadziwić, że ona, która zawsze o tej porze grała gdzieś w bridge'a, leżała na kanapie. I nie trzymała w ręku kart, lecz książkę, lub jakąś robótkę ręczną. Jan siadał przy niej.

A po kolacji, ponieważ nie mogła zasnąć, przyzwyczajona grać do późna w nocy, rozmawiali jeszcze z sobą długo.

Początkowo mówili z pewnem wahaniem, jak ludzie, którzy się dobrze nie znają. A potem nabrali do siebie zaufania, Jan opowiadał zabawne historje i cieszył się, że ona się śmieje.

I pewnego dnia pomyślał mile zdziwiony:

— Ależ ona jest bardzo dowcipna!

I znów po jakimś czasie:

— Ależ ona jest bardzo wykształcona!

I wreszcie:

— Ależ ona jest rozkoszna!

* * *

Po paru latach Jan zakochał się nagle w swej żonie!

Tymczasem Nikola, po dłuższej rekonwalescencji, wyzdrowiała zupełnie. Gdy wrócił pewnego dnia o szóstej do domu nie zastał jej.

— Pani jest u pani Weill-Geoffroy — powiedziała mu pokojówka.

I wróciła, zachowując się zupełnie tak samo, jak w ciągu poprzednich lat.

— Głowa mnie boli. Tak, byłam u Eweliny. Przywitali mnie strasznie serdecznie. Tak im brakło mego towarzystwa... I na początek świetnie poszło, kochanie. Powiódł mi się zapowiedziany wielki szlem... Coś nadzwyczajnego! Zaraz ci to dokładnie opowiem...

— — — — — — — — —

— Panie doktorze — zwrócił się nazajutrz Jan do lekarza, który leczył Nikolę — Powiedział mi pan, że moja żona wyzdrowiała. Czy nie przypuszcza pan, że może nastąpić powrót choroby?

— Och, nie! Może pan być zupełnie spokojny — zapewnił lekarz.

— Szkoda — szepnął Jan ku zdumieniu swego rozmówcy.

KONIEC



Dla kogoś, kto „wytknął nos“ poza granice kraju, nie jest tajemnicą, że życiem w większych skupowiskach — bez względu na to, czy to będzie miasto, czy modna miejscowość kąpielowa — rządzi w zakresie stroju kodeks, którego paragrafy dalekie są od liberalizmu. Nie wdając się w szczegółowe rozpatrywanie odnośnych postanowień, ograniczymy się do porównania odcinka mody wieczorowej — tej, która obowiązuje zagranicą i tej, którą my usiłujemy zmodyfikować na swój sposób. Anglik, a w ślad za nim Amerykanin, choćby należał do najskromniejszych ludzi, jeśli raz uważa się za inteligenta, nie wybierze się nigdy w podróż bez stroju wieczorowego. W jego walizie może zabraknąć niejednego rekwizytu, uprzyjemniającego życie, wkońcu ilość ubrań czy bielizny ulegnie redukcji, ale na smoking, a nawet frak zawsze znajdzie się miejsce, bo użytkowość tych ubrań traktowana jest przez Anglo-sasów na równi z użytkowością np. szczoteczki do zębów lub pidżamy. Ten styl życia w zakresie mody wyrobił się i w innych krajach, które chętnie poddają się autorytetowi Anglików. Dzięki temu nie widzi się na Zachodzie mężczyzn, pojawiających się wieczorem w strojach spacerowych lub nawet sportowych. Tam, gdy zgaśnie „wielka lampa dnia“ i zabłysną elektryczne słońca, kończy się bezapelacsyjnie panowanie saroju *„sans façon“*, choćby to było tylko jakieś kąpielisko, a zaczyna regime stroju *„correct“*. Natomiast u nas mało kto zwraca uwagę na potrzebę zaakcentowania pory wieczornej w stroju i z tupetem godnym lepszej sprawy spaceruje dosłownie przez cały dzień w jednym dressie, twierdząc uporczywie, że takie postępowanie jest właśnie męskie, bo wszelkie faramuszki w postaci przebierania się i t. zw. strojenia się powinien mężczyzna zostawić kobietom! — Czy może być większe nieporozumienie? Nikt nie namawia takiego „eleganta“, by przebywając nad morzem chodził inaczej ubrany rano, w południe, po obiedzie i wieczór, lecz by ograniczając w dzień repertuar ubraniowy do jednego dressu np. sportowego zechciał przynajmniej wieczorem pokazać się na dancingu, w kasynie lub restauracji w smokingu, jeśli już nie we fraku. **Brummell.**

Powyżej:
Nawet tam, gdzie panuje najdalej posunięta swoboda ubioru, a więc przedewszystkiem nad morzem, pora wieczorna zarezerwowana jest dla stroju „correct“, a więc jeśli o mężczyzn chodzi dla smokinga lub nawet fraka, bez których wstęp np. do kasyna jest nie do pomyślenia.

Na prawo:
Zato przez cały dzień, a więc nawet w porze popołudniowej, gdy wybieramy się np. na dancing, choć odbywa się on na tarasie wytwornej kawiarni, możemy sobie pozwolić na swobodny strój sportowy, ten sam, który służył nam np. do golfa, jazdy samochodem lub tylko spaceru.



ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

Wieczór: *correct*

W dzień: *sans façon*

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK Z MAŚLANKI. Litr młodej maślanki miesza się z szklanką śmietany i ubija spiralką od bicia piany tak długo aż się spieni, następnie stawia się na lodzie. Przed wydaniem słodzi się chłodnik i wsypuje garnuszek wybranych poziomek. Wafle lub słodkie grzaneczki osobno. Chłodnik ten nie słodzony doskonale się nadaje do młodych ziemniaczków.

KISZENIE GŁĄBIKÓW. Dokładnie obrane głąbiki kraje się wzdłuż w kawałki wielkości palca, układa w słoju, przekładając suchym koprem i ząbkami czosnku, poczem zalewa się je letnią wodą, dobrze osoloną, przykrywa papierem i stawia w cieple. Po 3—4 dniach głąbiki są ukiszone i gotowe do użytku.

KURCZAKI NADZIEWANE KASZKĄ KRAKOWSKĄ. Małą szklankę kaszki krakowskiej uciera się z masłem, jajem i suszy w piecyku na rumiano. (Uwaga! Łatwo się przypala!). Dwie szklanki wody zagotowuje się z łyżką masła i troszką soli, zasypuje ususzoną kaszką, zagotowuje i wstawiwszy następnie do drugiego naczynia z gorącą wodą, dogotowuje na sypko w piecyku. Najlepiej i bez doglądania gotują się wszelkie kasze w skrzynce samowarku, inaczej tzw. dogotowywaczu, o którym już kilka razy wspominałam, podnosząc zalety tego aparaciku, który łatwo sporządzić można sposobem domowym. Szczególnie na letniskach skrzynka taka jest nieoceniona. Ale wróćmy do naszego kurczaka, który czeka na nadziankę. Otóż kaszkę ugotowaną na sypko, miesza się z łyżką masła, utartą z żółtkiem, dodaje posiekane wątróbki oraz podgotowane i również zesiekane żołądki oraz resztę podróbek obranych z kostek, łyżkę siekanego koperku i pianę z jednego białka. Wymieszaną i skontrolowaną czy dość słona nadzianką, napełnia się kurczaki wewnątrz oraz skórę szyji, zaszywa, osmaża na maśle i piecze następnie w piecyku przy pilnem polewaniu, aby się nie wysuszyły. Podaje się przekrojone na połówki, większe na ćwiartki, obłożone duszonym groszkiem. Przed krajaniem należy je dobrze przestudzić.

KOTLECIKI Z GRZYBKÓW I ZIELONEGO GROSZKU. Na danie to można użyć grzybków tańszych nie koniecznie borowików, mogą też być mieszane z różnych gatunków. Grzybki doskonale oczyszczone, wymyte i drobno pokrajane dusi się z łyżką masła i dodaną na surowo (nie przysmażaną) pokrajaną cebulą. Grzybki należy dusić na małym ogniu z uwagą, aby się nie przypaliły. Osobno dusi się na maśle pół szklanki zielonego groszku. Miękkie, obie te jarzyny miesza się razem, dodaje soli i pieprzu, jedno całe jaje i tyle tartej bułki, aby masa nadawała się do formowania małych kotlecików. Usmażone na maśle układa się je na półmisku, posypuje zieloną pietruszką, przybiera szyjkami rakowemi i otacza kaszką krakowską lub podaje z młodemi ziemniaczkami.

SOS CZEREŚNIOWY DO CIEMNYCH MIĘS. Z łyżki smalcu wieprzowego i 2 łyżek mąki sporządza się dobrze rumianą zasmażkę, zalewa ją zimnym rosołem i gotuje chwilę na gładki sos. Sos ten podprawia się solą i cukrem oraz sokiem cytrynowym i skórką dla aromatu. Prócz tego dodaje się 5 dkg tartego piernika kuchennego i szklankę wydrelowanych trześni, ugotowanych z szklaneczką wina czerwonego, listkiem bobkowym i kilku ziarnami angielkiego pieprzu. Przed podaniem należy sos przefasować, ewentualnie rozrzedzić go rosołem, aby był zawiesisty, lecz nie za gęsty. Do gotowego sosu wsypuje się łyżkę tartych parzonych migdałów (2 dkg).

BUDYN Z SAŁATY DO GOTOWANIA. 50 dkg sałaty ugotowanej w słonej wodzie i z niej wyciśniętej, przemiela się z małą bułeczką i 10 dkg tłustej szynki lub wędzonki. 3 żółtka rozciera się z troszką soli i pieprzu oraz łyżeczką masła, dodaje zmielony farsz, wkońcu pianę z 3 białek i dwie łyżki tartej bułki. Masę piecze się lub gotuje na parze w formie natartej masłem, przez około godzinę. Budyń wyłożony na talerz polewa się rumianem masłem z bułeczką i podaje osobno sos koprowy lub pomidorowy.

DROŻDŻOWY PLACEK Z CZARNEMI JAGODAMI. 25 dkg mąki, pół łyżeczki soli, 2 łyżki roztopionego masła, dwie łyżki cukru, 1 jaje, 1 dkg drożdży rozrobionych w letniem mleku, wybija się łyżką na ciasto zupełnie wolne, dolewając w miarę letniego mleka. (Uwaga, aby nie przelać mlekiem — nie utopić młynarza, jak mówią nasze kucharcie). Ciasto przez 20 minut doskonale wybijane przykrywa się i stawia w cieple na około godzinę. W międzyczasie przebiera się jagody z listków i ogonków oraz smaruje dużą formę tz. blachę masłem i wysypuje mąką. Wyrośnięte ciasto rozciąga się cienko na blasze (formie), pozostawiająo po brzegach grubsze wałki z ciasta. Na pokropione masłem ciasto sypie się przebrane jagody, posypuje suto cukrem — o ile kto lubi — cynamonem, i rozciąga pozostawione po brzegach wałki ciasta na wierzch jagód, tworząc z niego cieniutką warstwę. Pokropione masłem ciasto, podrasta jeszcze w cieple przez 15 minut, poczem wstawia się w formę do piecyka dobrze nagrzanego na trzy kwadranse. Upieczony placek kraje się w kwadratowe kawałki i wyjmuje łopatką na półmisek, posypując je suto cukrem pudrem. **Sc. Ko.**



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

Często się zdarza, że słoiki, które napełniamy dopiero co gotowaną konfiturą, kompotem lub t. p., pękają pod wpływem wysokiej temperatury wlewanej substancji. Aby temu zapobiec owijamy słoik mokrą szmatką i dopiero wówczas przystępujemy do jego napełniania.

Fot. C. Anders. Paryż.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 32 — **Sierpień** — Dni 31
Niedziela **6** Przemien. P.	 Barszcz na rosole zimny z twardem jajem. Paszteciki z móżdżkiem. Kurczęta w śmietanie z kluseczkami. Placek drożdżowy z czarnemi jagodami. <u>Kolacja</u>: Ozór wołowy zimny z sałatką jarzynową.
Poniedziałek **7** Kajetana	Zupa szczawiowa z ryżem. Kro = kietki z mięsa rosołowego po = zostałego z niedzieli z bar = szczu. Pieczeń wieprzowa z duszoną kapustą. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Płatki z szynką zapiekane.
Wtorek **8** Cyriaka w.	Chłodnik ogórkowy z ziemniaczkami. Kalafior z masłem. Filety z polędwicy w sosie pie = czarkowym. Kisiel malinowy z mlekiem. <u>Kolacja</u>: Knedelki serowe z masłem. ©
Środa **9** Romana	Borówczanka czysta chłodzona z biszkoptami. Faszerowane pomidory z ryżem. Pieczeń z dyszka cielęcego z marchewką. Budyń morelowy. <u>Kolacja</u>: Pieczeń z obiadu z mizerją.
Czwartek **10** Wawrzyńca m.	Rosół z jarzynkami. Sztuka mięsa z sosem agrestowym. Kaczka pieczona z jabłkami. Ga = laretka morelowa. <u>Kolacja</u>: Kasza tatarczana z jogurtem.
Piątek **11** Zuzanny	Barszcz botwinkowy na śmietanie zimny. Kasz = ka krakowska z grzybkami. Białe ryby smażo = ne w cieście z sałatą. Knedelki drożdżowe z morelami. <u>Kolacja</u>: Jaja w szklance, sery.
Sobota **12** Klary p.	Zupa jarzynowa z płatkami. Bał = tarzany panierowane smażone. Wątróbka po wiedeńsku z ziem = niaczkami i ogórkami. Ryż z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Gołąbki z kapusty, ryżu. 

HOCKI-KLOCKI

DZIWNY PECH.



— Tyle sobie zadałem trudu, by z tego zrobić strój kąpielowy, a teraz dozorca nie pozwala mi się kąpać. Esquire.

Dokończenie ze str. 19-ej.

Oryginalny był powód wojny między Francją a Algerem w początkach XIX wieku. Bej Algieru podejrzywał francuskiego konsula akredytowanego przy jego boku o sprzyjanie kupcom, którzy skarb algierski narazili na straty. Pewnego razu mówiąc o tych sprawach z konsulem Piotrem Devalem, bej zamachnął się w jego kierunku wachlarzem, którym zwykł się był opędzać od much. Francja wykorzystała ten mało uprzejmy gest deja i wypowiedziała wojnę Algerowi. Krótkie oblężenie miasta, bombardowanie i desant wojsk francuskich wkrótce pozbawił beja tronu, a Francji pozyskał nową kolonję. Historycy francuscy zwą owe uderzenie wachlarzem „le fameux coup d'évantail".

Rywalizacja dwóch potężnych domów monarszych Habsburgów i Burbonów stała się przez lat trzysta powodem licznych wojen. Oczywiście nie chodziło tu tylko o udowodnienie, że jedna z nich jest większa od drugiej, ale o rzeczy nader... realne, mianowicie o supremację w środkowej Europie. Wojny te „wylęgły" się z sporu powstałego na tle sukcesji po Marji burgundzkiej, małżonki cesarza Maksymiljana austrjackiego, a przeniosły się wkrótce na wszystkie kraje, w których jedna albo druga dynastja panowała. Tak więc w orbitę ich weszła Hiszpanja, całe Niemcy, Francji itd.

Są też wojny „pretekstowe": może bardziej „złośliwe" od innych: stały się ostatnio one bardzo... popularne. Pretekstem oczywiście, a niefaktycznym powodem wojny były zajścia w Ual-Ual między strażnikami włoskimi a abisyńskimi, które doprowadziły do wybuchu wojny i zagarnięcia całej Abisynji.

Ostatnio aktualnemi stały się wojny... bez wypowiedzenia wojny! Taki stan rzeczy panuje na wschodzie, gdzie ani Japonja ani Chiny nie dały „na piśmie" konkretnego oświadczenia, że chcą prowadzić ze sobą wojnę. Stało się to zapewne dzięki wrodzonej uprzejmości obu narodów: wolą nie pisać o tak przykrych koniecznościach...

Jak widać z tego krótkiego przeglądu wojnę można spowodować pod byle pretekstem, pod warunkiem, że ma się w tym kierunku trochę dobrej woli! **JGM.**

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PUDEŁKO ZAPAŁEK.

Proponujemy Czytelnikom położyć na stole puste pudełko zapałek i dmuchnięciem oddalić je od siebie. Każdy zrobi to bez trudu. Ale teraz proponujemy zrobić coś odwrotnego: zbliżyć pudełko do siebie przy pomocy dmuchnięcia. Oczywiście nie wolno przy tym wysuwać głowy, aby dmuchnąć na pudełko z drugiej strony. Niewiele osób domyśli się odrazu jak można to zrobić. Niektórzy będą się starać przybliżyć pudełko wciągnięciem powietrza — metoda ta jednak na nic się nie przyda. Jak więc rozwiązać to zagadnienie.

PRZY PRACY.

Przyjąłem tylu ludzi do pracy, w ile dni chciałbym, by praca była wykonana. Gdybym przyjął o sześciu ludzi więcej, wykonaliby pracę w jeden dzień.

Ilu ludzi przyjąłem do pracy?

ZNA SIĘ NA FORMACH!



— Która z pań jest miss Fifi La Plant? Esquire.

NA TARCZY ZEGAROWEJ.

Ile jest minut do szóstej, jeśli pięćdziesiąt minut temu było cztery razy więcej minut po trzeciej?

Rozwiązanie z Nru 31-go.

MOI KOLEDZY Z KLUBU.

Pan Wola pracuje na Zoliborzu.

Poniższa tabela wskazuje sposób rozwiązania zadania:

Nazwisko	Mieszka w	Pracuje w
x	Wierzbno	Mokotów
y	Wola	x
Mokotów	—	Wola
Zoliborz	—	y
z	—	—

A zatem x = Marymont
a z = Wola (p. Wola pracuje na Zoliborzu).

NA POLSKIEJ ANTENIE:

W niedzielę dnia 6 bm. w ramach reportażu z Błoń Krakowskich w godzinach od 9,30 do 13,00 będą transmitowane wrażenia wstępne, opowiedziane przez mjr. Krzewskiego i ppłk. Lipińskiego, oraz Msza polowa i kazanie, a między godz. 11—12 usłyszymy przemówienie Naczelnego Wodza Pana Marszałka Śmigłego-Rydza. Bezpośrednio po przemówieniu Pana Marszałka nadane będą pieśni i marsze wojskowe, przerywane od czasu do czasu dla nadania fragmentów defilady legjonowej. Między godz. 13 a 13,30 ppłk. Lipiński i p. Kaden-Bandrowski przeprowadzą transmisję z Hołdu Legjonistów na Wawelu. O godz. 16,10 usłyszymy wspomnienia uczestników wymarszu Pierwszej Kadrowej p. t. „Jak to w 1914 roku było. O godz. 17,30 nadane będą krótkie reportaże z manifestacyj legjonowych na Placu Szczepańskim, pod pomnikiem grundwaldzkim, i pod pomnikiem Mickiewicza. O godz. 18 Polskie Radjo transmitować będzie z Oleandrów wymarsz drużyn na szlak kadrówki, o godz. 23,20 zakończenie Zjazdu Legjonowego z Rynku Głównego w Krakowie, a o godz. 23,30 reportaż dźwiękowy z uroczystości 25 lecia obalenia słupów gran. w Michałowicach pod Krakowem.

W poniedziałek dnia 7 bm. o godz. 16,20 usłyszymy pieśni egzotyczne w wykonaniu Anny Drweżanki. O godz. 18 Recital fortepianowy Haliny Ekierówny. O godz. 21,52 Pierwsza transmisja z Wielkiego Międzynarodowego Festivalu muzycznego w Lucernie. Na program złożą się dwa dzieła muzyki klasycznej Haydna koncert wiolenczelowy D-dur i Beethovena IV Symfonja B-dur. Wykonają je: Orkiestra Symfoniczna pod dyr. Adrjana Boulta i słynny wiolenczelista hiszpański Pablo Casals.

We wtorek dn. 8 bm. O godzinie 15,00 nadaje Polskie Radjo audycję ludową muzyczno-słowną „Śladami Sabały". O godz. 18,30 Utwory wiolenczelowe w wykonaniu K. Wiłkomirskiego. O godz. 21,00 Ilustracje Muzyczne do utworów scenicznych w wykonaniu orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Czesława Lewickiego. O godzinie 22,30 Recital fortepianowy pianistki estońskiej Valentine Rives.

We środę dn. 9 bm. O godzinie 16,20 usłyszymy Miniatury kwartetowe w wykonaniu Kwartetu Smyczk. Rozgł Krak. O godz. 17,00 muzykę do tańca z dancingu „Cafe Paradis". O godz. 19 „Podsłuchy". P. Hilary przeprowadzi podsłuch telefoniczny w kawiarni, w klubie kobiecym, w redakcji pisma humorystycznego i tp. O godz. 21,00 Koncert chopinowski w wyk. Józefa Smidowicza.

We czwartek dn. 10 bm. o godz. 8,20 rano znany sportowiec Stefan Kostrzewski udzieli rad „Jak biegać przez płotki". O godz. 18,00 usłyszymy Utwory klarnetowe w wykonaniu Ludwika Kurkiewicza. O godz. 18,20 Muzykę organową w wykonaniu Feliksa Rączkowskiego. O godzinie 22,00 w 20-tą rocznicę śmierci Ruggiero Leoncavalla „Pajace" opera w 2 aktach (z płyt). O godzinie 23,13 Koncert muzyki polskiej w wyk. Kwartetu Smyczkowego Polskiego Radja.

W piątek dn. 11 bm. o godzinie 16,20 usłyszymy utwory skrzypcowe w wyk. Antoniego Szafranka z Katowic. O godzinie 18,00 Recital śpiewaczy z Krakowa w wykonaniu Hanny Łosakiewicz-Molickiej. O godzinie 18,25 Kwartety Beethovena. O godzinie 21,00 Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych. O godz. 22,15 Medytacje Montaigne „Filozofować znaczy uczyć się umierać".

W sobotę dn. 12 bm. O godzinie 16,20 nadaje Polskie Radjo Recital fortepianowy Marji Olgibianki z Wilna. O godz. 19.00 w wesołej opowieści „Przez siedem mórz do siedmiu wzgórz" Szczepko i Tońko wraz z Siuprykiem przybywszy do Tunisu na Batorym opowiedzą o swych przygodach, a o godz. 20,00 usłyszymy pieśni ludowe cieszyńskie w „Melodjach ziemi polskiej".

NOWE KSIĄŻKI: „BUDUJEMY POLSKĘ".

„Na początku był żołnierz"... Takiem pięknem i mocnem stwierdzeniem prawdy rozpoczyna się książka-album Józefa Radzimińskiego p. t. „Budujemy Polskę".

Na początku odradzania się Państwa Polskiego był żołnierz, stworzony wysiłkiem Józefa Piłsudskiego. Gdy w listopadzie r. 1918 we wszystkich częściach świata ludzie myśleli już tylko o pokoju, i odbudowywali zniszczone pożogą wojenną swoje państwa, na ziemiach polskich wojna nie ustała. Żołnierz musiał dalej walczyć o niepodległość państwa, o jego granice, o potęgę materjalną Rzeczypospolitej. Bo wojsko — jak powiedział Józef Piłsudski — „to prawda siły ramienia, co broni, co życie dając, życie innym otwiera, co krwią jak cementem mości prawdę historji i trwania narodu".

Dwudziestą rocznicę wskrzeszenia



Nowa Gdynia.

Państwa uczciliśmy złożeniem hołdu twórczej Armji Polskiej, dwudziestą rocznicę wykorzystaliśmy na zapoznanie się z dorobkiem współczesnej Polski. Ten narodowy rachunek sumienia ułatwiają każdemu wydawnictwa pamiątkowe, będące najwymowniejszym dokumentem, który siłą słowa i ilustracji musi przekonać każdego. Jedną z najlepszych publikacyj, mówiąc ściśle: obok „Sztafety" Melchjora Wańkowicza, najciekawszą, najlepiej napisaną w tej dziedzinie pozycją, jest właśnie książka wybitnego dziennikarza i publicysty Józefa Radzimińskiego p. t. „Budujemy Polskę", niezwykle pięknie wydana przez Główną Księg. Wojskową.

Książkę poprzedził słowem wstępnem wicepremier inż. E. Kwiatkowski, który słusznie pisze: „Oto tu macie niezbite dowody i dokumenty nie tylko wielkiej tężyzny narodu, ale i świadectwo wszystkich cudów, dokonanych w okresie Niepodległości w przemyśle i w rolnictwie, w nauce i technice, w miastach i na wsi, na morzu i na lądzie, są to liczne dzieła o historycznej wartości".

Min. Kwiatkowski stwierdza jednak w dalszym ciągu swych rozważań, że obok dokumentów charakteryzujących niezbicie nasz wysiłek budowania potęgi państwa, znamy także rzeczywistość chaty chłopskiej, czy mieszkania bezrobotnego na przedmieściach Warszawy lub Łodzi, znamy ciężki byt urzędnika... i w zestawieniu z tą rzeczywistością „cały nasz optymizm, wyrosły na tle syntezy, przekształca się w głęboki pesymizm, ilustrowany i umocniony wszechstronną analizą. Są więc dwie prawdy i dwie rzeczywistości życia polskiego, obie są ze sobą sprzeczne i obie są realne, obie mogą się powoływać na liczne dokumenty i liczne dowody rzeczowe. Jedna prawda nie potrafi obalić drugiej. Ale gdybyśmy mogli kręcić film naszych osiągnięć w tył, to stwierdzilibyśmy, że u źródła każdego aktywu, każdego triumfu leżała albo pustka, albo nędza, albo ruina. Prawda naszych braków i deficytów przekształcała się pod naporem naszej pracy w prawdę osiągnięć, choćby tak umiejętnie zbilansowanych jak w obecnej książce (J. Radzimińskiego). To jest hasło nasze i w obliczu przyszłości. Pracą i zorganizowanym wysiłkiem musimy przekształcać świadomie nasze zaniedbania i braki — na nasze osiągnięcia i triumfy"



Okładka książki J. Radzimińskiego „Budujemy Polskę".

Książka J. Radzimińskiego jest właśnie nakręcaniem w tył filmu o naszych osiągnięciach.— Zawiera dziesięć rozdziałów, mądrze syntetyzujących pracę nad budowaniem Polski i dzisiejsze osiągnięcia, dziesięć rozdziałów, w których treść trzeba wierzyć. To jest jakby dziesięcioro przykazań o polskim wysiłku i polskim triumfie.

„Na początku, w owych pierwszych dniach istnienia Odrodzonej Polski — był tylko żołnierz. Żołnierz i Wielki Wódz. Niczego wówczas poza tym żołnierzem nie posiadaliśmy. Gdyby nie jego wytrwałość i męstwo, gdyby nie ofiary w żywotach ludzkich — nie mielibyśmy dziś wielkiej i wspaniałej Polski. To też nic dziwnego, iż żołnierz jest największym klejnotem Rzeczypospolitej, że społeczeństwo — krocząc w myśl wskazań Marszałka Piłsudskiego — czuje bliskość i łączność z żołnierzem. Ustają wszystkie nieporozumienia i odmienność zdań, gdy w grę wchodzą sprawy wojskowe czy zagadnienia obronności kraju... To też granice nasze nie są bronione jedynie przez oddziały wojskowe. Na ich straży stoi jednolite zwarte społeczeństwo, gotowe w każdej chwili do odparcia ataku. Nie pożądając nic od nikogo — nie oddamy naszej ziemi. Historja pokazała nam przecież, iż w tej szerokości geograficznej nie ma miejsca na ludzi słabych. Siła, tylko siła decyduje o przyszłości".

Po tych zdaniach pierwszego rozdziału, Radzimiński pisze o tem, jak odradzające się Państwo Polskie musiało walczyć o kapitał, jak położone między wschodem a zachodem musiało zdobywać sobie mocarstwowe stanowisko, jak bogactwa kultury ofiarowało dla wszystkich obywateli, pisze dalej, że kapitałem Polski jest młodzież, że Polska jest krajem sprawiedliwości społecznej, a w końcu swych wywodów daje pochwałę Ojczyzny, której symbolem jest twórcza praca na wszystkich polach.

Omawiając książkę Radzimińskiego, jako jedną z najpiękniejszych naszych książek reprezentacyjnych, Kaden-Bandrowski stwierdza: „Objektywizm autora nie pozbawia go entuzjazmu, nie pozwala jednak na wywody zbyt szerokie. Mamy tu więc do czynienia, jakby ze stylem stwierdzającym, dającym w dobrze budowanych zdaniach prostych konstatacje wysiłku, lub opis tego



Stalowa Wola.

wysiłku, zawarty w opowiadaniu szybkiem, niemal stenograficznem. Na żadne szersze rozwodzenia się, zachwyty, czy opisy nie pozwala Radzimińskiemu obszar tematu...

I tak przecież bardzo się trzeba streszczać i bardzo spieszyć, aby na tych 200-tu stronicach ująć syntetycznie a równocześnie zajmująco (co się p. Radzimińskiemu zawsze udaje) sprawy zbrojnego wysiłku odbudowanej Rzeczypospolitej — sprawy gospodarki kapitałem, wytyczne zagadnienia dyplomacji polskiej, zagadnienia kultury, sztuki, budownictwa, rolnictwa, szkolnictwa, kwestje rozwoju życia morskiego. Udało się p. Radzimińskiemu zorganizować cało wo treść wykładu o tych wszystkich sprawach, udało się też zawrzeć w stylu jasnym, zwięzłym, łatwo uprzystępniającym trudne nieraz do spamiętania wiadomości".

(swb).



Polskie żniwa.



Ciężkie czołgi.

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa" nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne „IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.